Nr. 12. Lwów, dnia 1. Grudnia 1882. Rok V.



PRENUMERATA ROCZNA: 10 marek, 5 złr., 5 rs., 12 frank. | WYCHODZI Z POCZĄTKIEM KAŻDEGO MIESIĄCA. | INSERATY przyjmują się po zwykłej cenie.

MUZEUM ŁOWIECKIE.

W Nrze 5tym „Łowca“ z dnia 1 Maja 1881 r. mówi p. L. Weeber: „Pisząc rozprawę o broni myśliwskiej i walcząc z trudnościami mianowicie co do terminologii, widzę niezbędną potrzebę złożenia ankiety, któraby zajęła się ustaleniem wyrazownictwa polskiego dla składowych części i wogóle dla broni. Mojem zadaniem będzie dać nazwy polskie z dołączeniem odnośnych nazw francuskich i niemieckich oraz z wyjaśnieniem, na jakiej podstawie te nazwy polskie opieram. Ankieta złożona z myśliwych i rusznikarzy niech ostatecznie decyduje w tej ważnej sprawie. Następnie ośmielam się przedłożyć rozwadze następujący wniosek: Składam w Redakcyi „Łowca“ dwa okazy pękniętych łożysk, których w pracowniach rusznikarskich niemało się znajduje, radbym, iżby owe okazy były zarodem zbioru przyrządów i przyborów łowieckich. W zbiorze takim mogłyby być gromadzone obok grubych drzewców osad pierwotnego i następnego kroju także kawały szyn żelaznych w stopniowanem wyginaniu i wydłużaniu fabrycznem na lufy, kawałki dziwiru, praktyczne wzory zamków i tychże części składowych całkowitych i w próbnym przełomie drobnoziarnistej stali, dalej różki, trąbki, chodaki, pęknięte lufy, jako *corpora delicti* złych konstrukcyi, nieoględności myśliwych lub wreszcie złego materyału, okazy wyrobów fabrycznych w zestawieniu z starannie wykończonymi wyrobami odręcznymi, słowem wszelkie przybory myśliwskie. Sądzę, iż zbiór taki powstaćby mógł przeważnie z datków dobrowolnych, a przyczyniłby się wielce do krzewienia dobra publicznego w sferze łowieckiej, dałby oparcie naszym rusznikarzom i odwodził od nabytków zagranicznych. Zresztą to tylko rzucona myśl, podjęcie jej, zastosowanie i wykonanie polecam rozwadze ogółu myśliwych naszych“.

Przytaczamy te słowa cenne naszego szanownego referenta w kwestyi broni w celu okazania, iż Pismo nasze poruszyło tę myśl, którą dziś Szkoła lasowa lwowska w życie wprowadza. Przemówienie sz. Dyrektora owej Szkoły na ostatniem naszem Walnem zgromadzeniu świadczy wymownie, iż od pierwszej chwili swego naukowego działania Szkoła lasowa lwowska, obejmując okiem cały zakres swej pracy, nie zapomniała o tak ważnej dla swych wychowańców nauce, jaką jest bez zaprzeczenia nauka łowiectwa. Wierzymy, iż trudności ustalenia systematycznej nauki łowiectwa nie łatwe były do pokonania, mamy wszakże nadzieję, iż w niedługim czasie owa trudność będzie przełamaną. Wskazówką dla nas w tym względzie jest sama myśl, powzięta przez Dyrekcyę szkoły lasowej, utworzenia Muzeum łowieckiego. Wiemy, iż dostojny Kurator tej Szkoły Exc. hr. Włodzimierz Dzieduszycki gorąco się tą sprawą zajmuje, i sam już złożył na ten cel cenne ofiary, nie wątpimy przeto, że zamiar stanie się wkrótce czynem dokonanym, i że wychowańcy Szkoły i myśliwi czerpać będą z tego Muzeum praktyczną naukę. Gdy to się stanie, w ślad za pierwszą musi pójść nauka druga, nauka systematyczna całego obszaru łowiectwa, a jako powa-

żniejsza stanie się ona wkrótce przewodniczką i mistrzynią pierwszej. W tem więc leży główne i nader cenne znaczenie projektowanego dziś przez Szkołę lasową Muzeum łowieckiego. Znaczenie to jest tak jawne, iż niezawodnie każdy z czytelników „Łowca" przejmie się głębokiem poczuciem jego, i z całą usilnością zechce popierać myśl utworzenia Muzeum łowieckiego. Powstanie ten zbiór, tyle pożytku w przyszłości rokujący, jedynie ofiarnością ludzi oddanych sercem i myślą dobru publicznemu. Wszak idzie tu o pomoc naukową dla młodzieży, która się specyalnie wiedzy lasowo-łowieckiej poświęca, idzie tu o istotny pożytek dla ogółu naszej społeczności łowieckiej, która z bogatego w okazy Muzeum łowieckiego czerpać może praktyczną wiedzę, a tem samem przyspieszyć sobie niemałych korzyści, ochronić się od dotkliwych strat, zabezpieczyć nawet zdrowie i życie. Do ogółu przeto naszych myśliwych i niemyśliwych, kierujących się w czynach swoich szczytniejszą myślą wspierania dobra publicznego, odzywamy się z wiarą silną, iż ta odezwa nie będzie głosem gubiącym się w głuchej puszczy, ze wnet nadbiegną z całego kraju hojne ofiary na cele muzealne w okazach ze sfery łowieckiej. Okazów tych szczegółowo wymieniać nie chcemy, bo one nadto naszym myśliwym znane. Wiemy, że oni chętnie złożą ofiarę na cel tak pożyteczny i niemyśliwych nakłonić potrafią do ofiarności. A nie zabraknie materyału dla tej ofiarności, wszak mamy ludzi możnych, myśliwych, którzy ze swoich bogatych zbiorów, bez uszczerbku dla nich, chętnie oddadzą dla użytku publicznego cząstkę, mamy ludzi szlachetnych, którzy pojmując cel istotnie pożyteczny, całe nawet zbiory swoje łowieckie przekażą Muzeum. Niejeden też przedmiot zapomniany, w poniewierce, stanie się własnością Muzeum, aby odczyszczony, zmartwychpowstały niejako, świadczył o dobrych chęciach dawcy. Ileżto tak zwanych rupieci, uważanych za rzecz bez wartości, może najcenniejszem będzie świadectwem naszej przeszłości łowieckiej, i bardziej nauczy, jak najwymowniejsze słowo prelegenta, ileżto równoimiennych okazów znajduje się w zbiorach, z których jeden może i powinien zasilić nasze Muzeum. Przypominamy, iż wszelkie przedmioty, wchodzące w zakres łowiecki, należą do Muzeum, każdy równego niemal znaczenia wobec nauki i pożytku, od drobnego sidełka do najbogaciej inkrustowanej strzelby, wszystko ma prawo należenia do tej rodziny, w zgodzie i ładzie z sobą żyjącej. Wkrótce uproszeni będą niektórzy z członków Tow. łow. do pełnienia funkcyi delegatów, niech oni łaskawie a gorąco się tą sprawą zajmą, niech poruszą ofiarność w swoich powiatach, niech przypominają cel i pożytek, do którego dążymy, a nie wątpimy, iż wkrótce będziemy mieli Muzeum łowieckie, godne tego imienia, utworzone usilnością i staraniem zacnych członków Towarzystwa łowieckiego.



ZWIERZĘTA ŁOWNE.

KUNA.

(Głównie według Brehma).

(Dokończenie).

Kuna domowa czyli kamionka *(martes foina, martes fagorum, domestica, mustella foina)* różni się od leśnej mniejszymi rozmiarami, krótszemi i niższemi łapami, dłuższą głową, mniejszemi uszami, krótszem i rzadszem futrem, jaśniejszą barwą włosa i białą szyją. Również uzębienie znacznie jest odmienne, zęby tnące wydatne, ząb sęczkowany górnej szczęki ustawiony wpoprzek. Długość wyrosłego samca wynosi 70 cm., z których nieco więcej jak trzecia część przypada na ogon. Szarobrunatny włos, w którym przebija się jednostajnie białawy puch, ciemniejszym jest na łapach i ogonie i przechodzi u stóp w kolor ciemno-brunatny. Plama na szyi co do kształtów i rozmiarów różna, zawsze jednak mniejsza jak u kuny leśnej, składa się z czystego białego włosa, a brzegi uszne obramowane są białawym włosem. Ogon czarniawy, szyja i piersi białe, bywają też popielato-czerwonawe. Oczy niebieskie. Cały korpus prawie cylindrowy. Ogon prosto wyciągnięty, pod nim dwa jajowate gruczoły z piżmowym płynem. Nogi krótkie, u przednich stopa szersza, palce do połowy spojone, pazury krótkie, ostre, białe. Pysk otoczony czarnymi, sztywnymi włosami, głowa krótka z gęstym włosem. Zębów 38, w górnej szczęce 18, w dolnej 20. Różnica płci objawia się już tem, że włos samicy szczególnie w zimie ciemniejszy i bardziej połyskujący, budowa więcej wysmukła, nogi krótsze, 8 sutek na brzuchu. Jako odmianę przywodzi Bechstein białą, siwawo-białą albo żółtawo-białą i czysto-białą, która ma mieć czerwone oczy.

Kuna domowa znajduje się we wszystkich krajach i okolicach, w których kuna leśna żyje. Ojczyzną jej jest cała środkowa Europa, Włochy z wyjątkiem Sardynii, Anglia, Szwecya, umiarkowana europejska Rosya aż do Uralu, Krym, Kaukaz, zachodnia Azya. W górach przekracza w letnich miesiącach wyżyny, w zimie zchodzi w niziny. Prawie wszędzie pospolitszą jest jak leśna, i chętniej od niej zbliża się do siedzib ludzkich, a nawet można śmiało twierdzić, że wsie i miasta są jej ulubionem siedliskiem. U nas pospolita pod imieniem kamionki, szopówki, białoszyjki. Mieszkaniem kuny domowej są budynki opuszczone, kupy kamieni, szopy, stodoły, klasztory, kościoły, na strychach, gdzie w nocy uganiając za łupem daje powód do wiary w pokutujące po śmierci dusze. W lesie — mówi K. Müller — jest prawie zawsze schronieniem dla niej dziupło, w szopie ciągnie się jej nora mniej lub więcej głęboko w ścianie lub słomie, zwykle przy ściance. — Chodniki te tworzy albo wypychaniem na strony lub rozgryzaniem przedmiotów. Pod sianem albo słomą, zwykle w kącie muru lnb na belku budynku zakłada swoje gniazdo, które jest tylko zagłębieniem w miękkiej samej przez się pościeli i tworzy kulistą przestrzeń, czasem pierzem, wełną, włosem lub kłakami wyścieloną. Kamionka porusza się lekko, ale niezbyt szybko, nigdy nie galopuje, lecz podskakuje. Za pomocą pazurów drapie się z łatwością nie tylko na szczyty drzew, ale nawet na gładkie słupy, na proste, chropawe mury. We wszelkich ewolucyach gimnastycznych jest ona mistrzynią, i ró-

wnież ruchliwą, zwinną, zręczną, śmiałą, podstępną, chciwą mordu, jak kuna leśna. Skacze z największej wysokości zawsze na wszystkie cztery łapy, ale nie tak daleko jak tumak, pływa wybornie i przez najciaśniejszą dziurę się prześliźnie. W zimie spi, jak długo nie jest zaniepokojoną, za dnia w legowisku, w lecie wychodzi w pobliżu jego często nawet na słońcu po zdobycz, i zapuszcza się aż w oddalone ogrody i pola. Tajemnicze jest jej życie, jak cień przemyka się i wszystko umie zużytkować, aby się ukryć. Gdy jest w ambarasie i w pierwszej chwili nie wie, gdzie się zwrócić, chwieje głową, wtyka ją w jakiekolwiek właśnie nadarzające się zagłębienie, ale wnet ją wysuwa, przybiera postać obronną i wyszczerza białe, świecące zęby. Czasem w takiej chwili przymruża oczy, jak gdyby oczekiwała uderzenia. Ze zmysłów najostrzejsze słuch i węch. W nocy żywa, zwinna, zręczna, w dzień niedołężna i ospała, chyba gwałtem poruszona lub elektrycznością tak zaniepokojona, iż przy zbliżeniu się burzy ugania jak szalona po strychach i stajniach. Spoczywając zwija się w kłębek i ogonem przykrywa oczy. Nienasycona w niej chciwość krwi i najwyższe okrucieństwo, morduje wszystko, co zchwycić może. Nie tyle jest przebiegłą, jak lis i kot, łowi się przeto łatwiej. W niebezpieczeństwie traci przytomność, nie widzi sposobu ocalenia i zwykle sądzi się być ukrytą, gdy przednią część ciała schowa. Swarliwą jest tylko w obec swoich, śmiałą wobec każdej napaści. W obu tych wypadkach wydaje głos nieco podobny do miauczenia kota. W wycieczkach swych rozbójniczych jest również śmiałą i zuchwałą, jak przebiegłą i podstępną. Żaden gołębnik dla niej za wysoki, dosięga go, choćby dostęp był najtrudniejszy. Otwór, przez który głowa się przeciśnie, wystarcza dla całego jej ciała. Na dachach zepsutych nieraz podnosi dachówkę, aby łupu dosięgnąć. Pożywienie jej jest prawie toż samo, jak kuny leśnej, ale staje się ona szkodliwszą od ostatniej, ponieważ człowiekowi znaczną wyrządza szkodę. Gdzie tylko może, wkrada się do drobiu, i dusi wszy tko z nienasyconą drapieżnością. Zresztą łowi myszy, szczury, króliki, różnorodne ptactwo, w lesie zaś wiewiórki, płazy i węże. Jaja są dla niej przysmakiem, również chętnie zjada owoce wszelkiego rodzaju, dla tego też trzeba szlachetne owoce od niej chronić smarując pień sokiem tytuniowym lub olejem sk..ym, a kurniki i gołębniki należy dobrze zamykać i każdą dziurę zatkać. Prócz mordowania drobiu staje się nadto o tyle groźniejszą, iż zwierzęta przez nią wystraszone przez długi czas unikają swych mieszkań. Drapieżność jej graniczy z wściekłością, a upajanie się krwią ofiary zdaje się być u niej istotnem. „Przed kilku laty — opowiada Müller — wymordowany był w pobliżu Alsfeld cały gołębnik. Wszystkie gołębie padły ofiarą. Kunę widocznie upojoną, znaleziono w chruście przy zabudowaniach w stanie zupełnego oszołomienia i ogłupienią tak, iż bez trudu i podstępu została ubitą. Przy takiej uczcie gardzi ona mięsem, głowę chyba tylko z smacznym mózgiem pożera. Zresztą ściąga kilka martwych ofiar jako zapas na późniejszy czas".

Kamionka grzeje się o trzy tygodnie później jak kuna leśna, zwykle w końcu Lutego Nie grzeje się jednak, jak inne ssawce, w ściśle oznaczonej porze, w każdej bowiem bywają młode. Podczas grzania rozlegają się na dachach głośne miauczenie, mruk i swary pośród walki kilku gorących rywalów. Wtedy samica wydaje z siebie silniejszą jak zwykle woń piżma, czem podobno przywabia ku sobie Dosyć często parzy się z kuną leśną, i wywodzi z niej silne mięszańce. Samica rodzi raz tylko po dziewięcio-tygodniowej brzemienności w Kwietniu lub Maju 3 do 5 młodych. Poród odbywa się na dachach, w starych murach, pod stosem drzewa, słomy lub siana, w dziupłach. Legowisko wyścielone sianem, słomą, pierzem, szmatami. 9 do 14 dni młode nie widzą i nie oddalają się od gniazda. Matka niezmiernie do dzieci przywiązana, pielęgnuje i chroni je starannie, a później uczy gorliwie swego rzemiosła. „Matka — mówi Müller — z całą usilnością daje dzieciom lekcye gimnastyki, miałem sposobność widzieć to kilka razy. W pewnym parku stał mur na pięć metrów wysoki w połączeniu z szopą, w której kuna z czworgiem młodych mieszkała. Ze zmierzchem ukazywała się naprzód ostrożnie matka, rozglądała się bystro w około i wysłuchiwała, poczem szła wolno kilka kroków wzdłuż muru i siadła spokojnie. Po chwili pojawiło się jedno młode i przytuliło się do niej, rychło potem ukazało się drugie, trzecie i czwarte. Po krótkiej a zupełnej prawie nieruchomości podniosła się stara rozważnie i w pięciu lub sześciu skokach przebyła znaczną przestrzeń muru. W spiesznych poskokach podążała za nią młodzież. Nagle znikła stara, i wnet usłyszałem ledwo dostępny dla mego ucha szmer skoku w ogród. Młode wyciągnęły szyję, niepewne co mają z sobą począć. W końcu zdecydowały się zsunąć na dół po topoli, stojącej przy murze. Zaledwo się tam dostały, skoczyła przewodniczka ich po bzie znowu na mur. Skok ów naśladowały wnet bez wahania młode, i dziwne, jak one łatwo naukę zrozumiały. Poczęło się teraz uganianie i skakanie z taką gorliwością i w tak karkołomny sposób, iż igraszki kocie i lisie wydawały mi się przy tych harcach niedołężną i dziecinną zabawką. Z każdą minutą stawały się młode zwinniejszemi i śmielszemi. Miotając się po drzewach tu i tam, po dachu i murze, zawsze w ślad za matką, objawiała młodzież spryt, który dosadnie wskazywał, jak groźnym ona będzie później prześladowcą ptactwa w ogrodzie". —

Zaniepokojona stara wynosi się z dziećmi w bezpieczniejsze miejsce. Gdy podrosną, wyprowadza je i obznajamia z sposobem łowienia zdobyczy. Wyrastają w drugim roku, a w 10 miesięcy zdolne są do zapładniania. Za dnia spi, wieczorem wychodzi na żer, w zimie między 9 a 10 lub 1 a 4 po północy, ale nie dzieje się to normalnie, samica hodująca dzieci wychodzi wraz z zmierzchem, nawet po kilka razy w nocy. Niepłoszona trzyma się miejsca i chodzi jednymi przesmykami, a ma ich trop w kale woniejącym piżmem, gdy tenże poruszony, zmienia swe drogi. Pastwy szuka w kurnikach i gołębnikach ptactwa i jego gniazd, chomiaków, wiewiórek, kretów, myszy. W jesieni odwidza regularnie sidła zastawione na ptaki. W niedostatku żywi się jagodami, pączkami drzew. Ścierwa nie tyka, chyba może w ostateczności.

Zchwytana kuna wraz z młodemi poświęca im również w klatce bez wahania i wstrętu najstaranniejszą opiekę. Karmiąca samica, którą Lenz posiadał pielęgnowała wcale spokojnie w oczach wszystkich swe dzieci. Młode skrzeczały często głośno, gdy były głodne lub niezadowolone, wydawały, gdy je stara oględnie nie oczyściła, z siebie mocną woń piżma. przeciwnie u matki czuć się ona wcale nie dawała Nieraz oddawano młode kuny kotom do wychowania, ponieważ one chętnie się tego trudu podejmują. Takie młode bardzo się oswajają i stają się zwierzętami domowemi. Chodzą wszędzie, w końcu jednak prędzej czy później stają się ofiarą swej wrodzonej drapieżności, której wychowanie w zupełności przytłumić nie zdoła. Kuna domowa trudniej się oswaja jak leśna. Młode hodują się zrazu bułką z mlekiem, następnie mięsem, nasieniem konopnem, miodem. Obłaskawia się i przywiązuje, ale nie można jej bardzo ufać, kąsa bowiem nawet swego

opiekuna podstępnie, a w porze rui szuka wolności. Chowana kuna nie robi szkody w domu, ale w sąsiedztwie zawsze.

Nawet stara kuna oswaja się do pewnego stopnia. W Szkocyi złowiono raz kunę w dziwny sposób. Przez długi czas broił ów nieproszony gość w pewnej górskiej wiosce i popełniał tem w drobiu haniebne zbrodnie. Nie było we wsi kurnika, nad którymby żałośnych nie wywodzono żalów. W końcu wyśledzono miejsce pobytu kuny. Za pomocą dobrych psów wypędzono ją z szopy odosobnionej na czyste pole. Napróżno używała wszelkich podstępów i sztuczek w celu wymknięcia się psom, coraz bardziej zbliżały się ku niej i prawie już ją chwytały, kiedy stanęła nad przepaścią. Nie namyślała się długo i rzuciła się w jar 30 metrów głębokości. Upadek był wszakże nadto gwałtowny, bo w dole legła jakby martwa i nie ruszała się wcale. Prześladowcy jej byli przekonani, że się rozbiła. Gdy ją zabrano, po chwili zaczęła się ruszać, następnie objawiła rozbudzone życie potężnem ukąszeniem tego, który ją niósł. On jednak nie wypuścił jej z rąk, owszem chwycił za kark i doniósł do domu, gdzie obchodzono się z nią łagodnie, wkrótce się też oswoiła. Właściciel postanowił użyć jej do wyławiania myszy, umieścił więc w stajni końskiej. Nie tylko oswoiła się z niewolą, ale nadto zjednała sobie przyjaźń jednego konia. Zawsze widziano ją obok niego, siadała na grzbiecie jego, na szyi, to uganiała po nim, to igrała z jego ogonem lub uszami, a on radował się widocznie tymi objawami przyjaźni. Niestety rozerwany został ów dziwny węzeł serdeczny, kuna w czasie nocnej wycieczki wpadła w łapkę, i znaleziono ja nazajutrz rano martwą w niej. Kuna w niewoli bardzo miłem jest stworzeniem, ucieszną z powodu nadzwyczajnej swej zwinności i powabnych poruszeń, nigdy prawie nie spoczywa, nieustannie ugania, wspina się, skacze, ciągle w ruchu, z taką nieraz szybkością, iż trudno głowę od ogona odróżnić. Nieprzyjemna woń, szczególnie samicy, czyni ją wstrętną, a przyrodzona drapieżność nader groźną dla słabszych zwierząt.

Polowanie i łowienie kun wymagają wytrawnych myśliwych. Zwierzę to trzyma się wprawdzie statecznie dogodnych miejsc i przesmyków, ale nader jest podejrzliwem i umie najdoświadczeńszego nawet myśliwego w pole wyprowadzić. — Nadzwyczajną jest przezorność kuny i wiatr nader ostry. Każda choćby najmniejsza zmiana w miejscowości przez nią zwidzanej, każde najdrobniejsze wzniesienie terenu, każdy niezwykły przedmiot obudza jej podejrzliwość, i wypędza ją na długo z miejsca. Łowi się w samołówkach, żelazach, sieciach. Ostatnie wyrabiają się z nici cienkich, ale mocnych, a wielkość ok ma być taka, iżby przez nie kuna przecisnąć się nie mogła. Upatrzone miejsce obstawia się sieciami, wystrasza kunę ludźmi lub jamnikami, i zaplątaną zabija zaraz aby sieci nie przegryzła. Wypłoszyć ją można za dnia klekotaniem, bębnieniem, uderzeniem o blachę, odgłosem łańcucha lub harmoniki. Łowi się też ją dosyć łatwo w żelaza, które się nastawiają w lesie w gąszczu, na murach ogrodowych, na ścianach i na zwykłych przesmykach. Po obu stronach odwietrzonego żelaza kładzie się chrust, również przed i za żelazem, aby kuna śmiało w otwarte miejsce skoczyła, i nie bardzo rozważała, ażali jej jakie niebezpieczeństwo grozi. W zabudowaniach trudniej ją w żelaza złowić. Jako ponęty użyć należy kurczęcia, ptaszka, świeżego mięsa, a najodpowiedniej jaja, suchych śliwek lub brzoskwiń, te bowiem nie przyciągają ku sobie domowych zwierząt. Myśliwy szuka kuny na ponowie. Trop jej podobny do kociego, ale nie tyle okrągły. Stawać w zasadzce trzeba tam, gdzie dniem przedtem się ukazała. Na kunę najlepszy śrót N° 3 lub 4. Początek Listopada najlepszym jest na zasadzki, bo później, gdy ostre mrozy się rozpoczną, rozdziela się familia zapewne z powodu braku pożywienia i walki o nie w rodzinie. Szuka się też kuny w lecie, szczególnie w Lipcu i Sierpniu, wtedy bowiem mniej jest płochliwą, jak w zimie.

Pożytek kuny w wyławianiu szkodliwych zwierząt nie idzie w parze z szkodą, jaką ona czyni w drobiu i owocach, nawet kał jej wypłasza gołębie i służy do fałszowania piżma.

Futro jesienne i zimowe poszukiwane, wiosenne i letnie nie wiele warte. Środkowa Europa dostarcza według Lomera rocznie 240.000, północna Europa 150.000 skórek kunich na targi, a całość ma wartość przeszło czterech milionów marek. Najpiękniejsze i największe skórki pochodzą z Węgier i Turcyi, i najdrożej bywają płacone.

J. Łoziński.

NORNIKI

PRZEZ

Alexandra Ubysza.

(Ciąg dalszy).

Jamniki posiadają węch doskonały, ostrzejszy niż najlepsze ogary, zwierzynę niezawodnie wytropią czy to na czarnej stopie po długotrwałej posusze, czy na zamarzłej a śniegiem nie pokrytej ziemi, czy też na ponowie. Cięte są przytem niesłychanie i odważne, do największego psa rwą się zuchwale, choćby już nawet przez niego poturbowane, i same najczęściej wywołują zwadę, a zwyciężone i srodze pokaleczone jeszcze zażarcie się odcinają. Zawsze obok chartów trzymałem jamniki. Jeden z tych chartów rasy ukraińskiej, duży, cięty i bardzo silny tak, iż nie było lisa, któregoby nie wziął w pojedynkę, rej wodził między liczną złają psów, a przytem stróż zeń był doskonały, i nikt w nocy nie mógł bezkarnie przekroczyć bramy. Zły był do tego stopnia, iż domowi ludzie bali go się jak ognia. Z kuchni lub sieni tylko wodą wystraszyć go było można, jeżeli nie użyto tego środka, rzucał się obcesem na wypędzającego, wody bał się ogromnie i umykał co tchu, ale prędko trzeba było zamykać drzwi, rzucał się bowiem na nie gryząc wściekle, a kąsał co mu się tylko nawinęło. Nikogo w domu się nie bał prócz mnie, lecz tylko wtedy, gdy nie było w domu suki grzejącej się, w takim bowiem razie nie było innej rady tylko zwabić podstępem sukę a z nią charta do psiarni, i tam dobrze je zamknąć, w przeciwnym razie kaleczył wszystko i wszystkich, nawet mnie. Łaskawy czytelnik usprawiedliwi odbieżenie od przedmiotu tem, iż chciałem przytoczyć przykład anormalnej złośliwości psa, graniczącej niemal z wścieklizną. Ponieważ ów chart był dobrym, więc cierpia-

łem to wszystko. Unikały go wszystkie psy, jeden tylko jamnik zuchwale stawał do walki z nim. Pewnego dnia dziwną z sobą stoczyli batalię Jamnik wlazł chartowi w drogę i prawdopodobnie sam rozpoczął zwadę. Chart porwał go za kark, i trząsł nim niemiłosiernie, a jamnik głośnym lamentem wzywał pomocy. Bojąc się, by mi ulubionego jamnika nie zadławił, pospieszyłem z konwią zimnej wody w celu ostudzenia zapału stron wojujących, lecz zanim dobiedz zdołałem, chart pędem wybiega z poza stajen, a u jego gardła jak pijawka przyczepiony jamnik. Było to tak komiczne, iż nie mogłem powstrzymać się od śmiechu. Chart biegając w kółko, pragnął tarzaniem się uwolnić od tego uścisku, jamnik zaś tak silnie i kurczowo zacisnął szczęki, iż z wielkim trudem zdołałem wielkim kluczem otworzyć mu paszczę i oswobodzić duszącego się już charta. Zdarzenie to świadczy wymownie o zażartości jamników, jeden to dowód z tysiąca, charakteryzują bowiem ową rasę psów niesłychana złośliwość i odwaga. Śmiało do nich zastosować można przysłowie: „Harda dusza w ubogiem ciele“. Dodać tu jeszcze muszę doświadczeniem mojem stwierdzoną uwagę, że często ogromne koty, których nawet najsilniejsze psy trwożliwie omijały, giną w paszczy jamnika. Również dla mniej znanych im ludzi są groźne, okładane kijem, zapominając o srogim bolu, rzucają się na nich, i często dotkliwie kaleczą. Mimo tego jednak łatwo do ludzi się przywiązują, wcale w tej mierze nie ustępując pinczom, pudlom i legawcom. Co do pojętności, o ile ona wykracza z obrębu przyrodzonego zmysłu, są upośledzone. Z wielkim trudem zdołałem wyuczyć jamnika bardzo do mnie przywiązanego. Pozwolę sobie kilka słów dorzucić o sile takiego przywiązania. Do niedawna miałem jamnika najczystszej rasy, który jedyny pozostał mi z mojej licznej psiarni. Był do mnie przywiązany do tego stopnia, iż ktokolwiek zbliżał się ku mnie z jakim podniesionym w górę przedmiotem lub nawet ręką, napadał nań wściekle i kaleczył. W zimie idąc w las, kazałem zwykle tego jamnika zamknąć, aby towarzysząc mi nie ziębił się i nie brnął w głębokim śniegu, jeśli mu się kiedy udało wymknąć z zamknięcia, to szedł za śladem moim w las i zawsze odszukał, czy to na śniegu, czy na czarnej stopie. Przymiot ten nie był indywidualną własnością tego jamnika — cała ta rasa odznacza się wielkiem przywiązaniem do swych panów, często nawet z uszczerbkiem swych obowiązków łowieckich, o czem obszerniej wspomnę, gdy mi przyjdzie mówić o układaniu jamników.

Wychowanie i pielęgnowanie jamników począwszy od szczenięcia polega na znanych i powszechnie praktykowanych zasadach. Rasa ta jest wytrwała na wszelkie zewnętrzne wpływy, i mniej jak inne ma inklinacyi do chorób, równie też mniej jest płodną. Jamniki rzadko więcej jak czworo rzucają młodych, a bardzo często zdarzają się matki nigdy więcej jak jedno szczenię rodzące. Dla swego potomstwa są czułe i troskliwe, a złe piekielnie dla wszelkich zwierząt domowych zbliżających się do gniazda, a nawet ludzi domowników często kaleczą. Jeden jeszcze rys charakterystyczny dostrzegłem u suk jamników i chartów. Często się wydarza, a to wyłącznie u tych dwóch ras, że suka, nie mająca szczeniąt lub równocześnie je rzuciwszy, jakąś dziwną zazdrością czy też wrodzoną złośliwością powodowana, innej suce w czasie jej nieobecności szczenięta dusi. U innych ras przeciwnie się dzieje, często dwie matki w sąsiedztwie pielęgnujące swe gniazda, karmią w najlepszej zgodzie wspólnie wzajemnie szczenięta. Gdy więc jamnica i charcica równocześnie się oszczenią, radzę gniazda znacznie od siebie oddzielać, bo się z sobą zażerają i nawzajem tępią sobie szczenięta. W ogóle matki tych dwóch ras, jak czułemi są dla własnych dzieci, tak złemi i nieczułemi są dla obcych dzieci.. Posiadając większą psiarnię jest koniecznością pozbywać się nadmiernej ilości szczeniąt, w tym względzie jednak należy zachować ostrożność, a szczególnie nie wybierać szczeniąt w pierwszym dniu, a to z tej przyczyny, aby młode dobrze wyssały nagromadzony pokarm, w przeciwnym bowiem razie ulegają matki długotrwałej chorobie, a nawet śmierci. Zwykłą z tego powodu wynikającą chorobą jest stwardnienie sutek czyli tak zwany *wał*, jest ona długotrwałą, dotkliwą, a nawet zabójczą, gdy pokarm uderzy na płuca, żołądek, mózg, krzyże. W ostatnim wypadkn pojawiają się symptomata podobne do wścieklizny. Najlepiej wybierać młode dopiero w trzecim lub czwartym dniu, i to nie od razu wszystkie, tylko po jednemu co dzień. Tym sposobem zabiega się gwałtownemu wezbraniu pokarmu, szczególnie u młodych suk, oraz koi żal z powodu ubytku dzieci, z którym zwolna się oswajają. Regułę tę u wszystkich ras psów zachowywać polecam. Młode jamniki chować należy tak, jak się zwykle inne psy chowają, jeden chyba wyjątek godny jest polecenia, by młode ogary i jamniki zawsze zdala od frekwencyi ludzi umieszczać, bo one, a szczególnie jamniki łatwo bardzo się do ludzi przywiązują, co potem przy układaniu ich w kniei ważną stanowi przeszkodę, bo albo wcale niechcą nogi odstąpić, lub też trochę pogoniwszy na powierzchni ziemi lub w jamie, rychło do nogi wracają. Staranna dresura, wreszcie wrodzona zajadłość wobec zwierza usuwa tę przywarę, lecz przedewszystkiem nie trzeba zbyt jamnika do siebie przynęcać. Układanie jamnika tak do kniei jakoteż do jamy powinno się rozpoczynać dopiero po skończonym roku. Do gonienia w kniei zaprawiać najlepiej w miesiącach Maju, Czerwcu, Lipcu, ponieważ wtedy zające, urodzone w Marcu, jeszcze są młodzikami, i stale do Listopada krzaków się trzymają, nie wymykają w pole gonione. Wybrać się należy skoro świt przy obfitej rosie, która młodym psom wielce ułatwia szukanie. Niektórzy myśliwi utrzymują, iż zaprawianie jamników i ogarów w powyższych miesiącach jest z tego powodu szkodliwe, iż wtedy woń kwiatów i ziół zbyt aromatyczna przytępia psom wiatr, i utrudnia im tropienie zwierza. Ja zaś to argumentowanie obalić mogę tem, że kwiaty i zioła najwięcej wtedy wyziewają woni, gdy wkrótce ma deszcz padać, a w takim razie, jak wiadomo, rosy prawie wcale nie ma, więc też i do zaprawiania psów wtedy zabierać się nie ma potrzeby, przeciwnie gdy bujna rosa spadnie, to ona sama stłumia wyziewy, a bardzo ułatwia psom tropienie. Do takiej zaprawy brać można psów najwięcej cztery, jeżeli można w towarzystwie już ułożonego, wypróbowanych przymiotów psa starszego. Im większa liczba psów, tem nauka idzie gorzej, ponieważ pieski nim zrozumieją powód swej bytności w kniei, chętniej z sobą się gżą jak spieszą w pomoc swemu mentorowi. Kiedy się już nauczą przytrzymać zwierza, dobrze jest zastrzeliwszy młodzika zająca pozwolić im poszarpać go trochę, polizać farbę, a nawet zjeść. Tem zachęcone odtąd zacięcie gonić będą. Używałem zawsze tego sposobu przy zaprawianiu jamników, i dobre też miałem pieski. Wszakże każdy pies naturalnym wiedziony popędem goni zwierzynę dla swej własnej korzyści, gdy więc osiągnie ów cel, to tem najlepiej zachęca się do dalszych łowów. Przeciwnicy tego sposobu zarzucają, że psy się tem zaprawiają także do zjadania postrzelonej lub zforsowanej zwierzyny, — czyliż jamniki i ogary innym sposobem układane tego nie czynią? Ile mi wiadomo — zawsze.

Użyteczność jamników w kniei jest nie wielką, ponie-

waż, jak już wyżej nadmieniłem, z powodu swych krótkich nóg, zwłaszcza w kniejach wzgórzystych, poprzerzynanych parowami, jarami, potokami, co chwila utykają, koziołkują, gubią trop zwierza, i narażają myśliwego na długie i męczące wyczekiwanie. Na głębokim śniegu jamnik także nie daleko pogoni, męczy się na nim rychło, wreszcie marznie. Najlepsze pole dla jamników są w jesieni małe krzaczki lub nie wielka knieja podszyta. Łowy takie są nader przyjemne, chór owych dyszkantowych psich głosów mile brzmi w uchu, a gdy przytem zwierza wiele a pudłowania mało, to już niezawodnie myśliwi doznają prawdziwej przyjemności. Chybiona zaś zwierzyna, prześlepiona lub wykradająca się uchodzi w pole, a tu już czatują na nią rącze charty i wnet ją chwytają z wielką uciechą jeźdźców myśliwych, do których się często i płeć piękna na koniach lub w powozach przyłącza. — Łowiectwo w kniei nie jest jednak specyalnością jamnika, budowa ciała jego wskazuje, iż inny jest jego zakres działania, na powierzchni ziemi nic wielkiego dokonać nie może, mistrzem on w podziemiach, norach, w których niektóre zwierzęta na mocy praw przyrody mieszkają i mnożą się.

Na miejscu tu będzie wspomnieć o życiu domowem tych zwierząt, które usiłowałem nieraz podpatrzyć. U Francuzów jest przysłowie: „Chcesz poznać charakter mieszkańca, poznaj jego mieszkanie“. Da się ono jak do ludzi, tak również do zwierząt zastosować. Frant Mekita wcale innym jest w swym domu, jak poważny kmotr borsuk. Pierwszy to pędziwiatr, birbant, nie pilnujący domu chociaż ojciec licznej rodziny, z konieczności tylko w norze przesiaduje, gdy zawierucha, długotrwała słota, lub do niej zapędzony. Łotr, lubieżnik samiec, skoro zaspokoił swe chucie, wynosi się z nory wyruszając na rozbójniczą włóczęgę, a wraca do niej, gdy musi, i to nie zawsze, często bowiem kryje się dorywczo w jamie w czystem polu wygrzebanej, zapomina o siedzibie gniazdowej, gdzie małżonce polecił opiekę nad rodziną. Lekkie pędząc życie po za domem, nie troszczy się o nią, lisica o wszystko troszczyć się i zabiegać musi, przysposobieniem gniazda, żywieniem dzieci, dla których sama bez jego pomocy żer znosić musi. A nie łatwe to zadanie dostarczyć pożywienia dla licznej gromadki wiecznie zgłodniałych lisiąt, toż z prawdziwem poświęceniem, sama zbiedzona i strudzona, pełni ów obowiązek. Gdy szczenięta już nieco podrosną, rozpoczyna się edukacya, którą także tylko matka się zajmuje, przyucza dzieci łowienia żeru, przynosząc im łup żywy, wyprowadza je coraz dalej od gniazda, gdzie każde poluje dla siebie, w końcu przestaje znosić im pożywienie, i zmusza tem do samoistnego działania, i na tem kończy się edukacya. Grono to rodzinne żyje razem aż do następnej wiosny, w której obudzający się popęd płciowy rozprzęga je i rozprósza. Samice młode czy stare, podobnie jak suki, uganiają w porze cieczki nieraz na przestrzeni kilkomilowej, a gdy uczują w swem łonie płód, zalęgają w pierwszej lepszej norze, jaką znajdą, i bezpieczeństwo w niej upatrują. Nory lisie nie zawsze tylko są w lesie, bywają też śród czystego pola, a najczęściej u stoku wzgórza, i to nie tylko jako chwilowe schronienie, ale też gniazdowe Lis nie jest zwierzęciem miejscowem. Cieczka samic sprawia wielkie między okolicznymi lisami zamięszanie. Za samką spieszy po kilka nieraz samców, oddalając się tym sposobem w dalekie strony. Lisy chociaż młode nie zawsze równo z dniem wracają do gniazdowej nory, czynią to chyba wtedy, gdy połów nocny był obfity, lub gdy zawierucha zimowa zagraża, a tę przewidują niechybnie. — Gdy wszakże myszy, które w zimie są głównem pożywieniem lisa, nie wiele znajduje, a szarugi się nie spodziewa, to pozostaje w czystem polu nawet kilka dni. W nocy się nie obłowił, mysz mało, a kuropatwy, pod które nader ostrożnie się podkradał, poczuły wroga i frunęły z wrzaskiem w powietrze — więc pocóż ma wracać do domu? Głodny nie zaśnie, więc warto za dnia spróbować szczęścia, może się uda zchwycić strudzonego, w kotlinie spoczywającego zająca? Wszak dzień zimowy krótki, i zaledwo tu i owdzie się pokręci — już mrok zapada, a z nim znowu pora do właściwych łowów. W zimie zwłaszcza, chyba podczas zadymki, rzadziej spoczywa lis w norze, jak w lecie; kiedy wylenił się, pokryty jakimeś krótkim żółto-rudawym meszkiem, woli spoczywać w norze lub kryjówce śród pól, jak piec w skwarze dziennym, którego nie znosi, osobliwie gdy w nocy o żer nie trudno, ma bowiem dosyć gniazd ptasich z jajami, pisklętami po krzakach, na ziemi, podkradnie się pod gniazdo kosa lub kuropatwy, a choć mu starka uleci, to przynajmniej znajdzie jaja, za któremi przepada, lub młode. Wszystko, co żyje, płaci mu sowity haracz. Gdy śniegi znikną zupełnie w Marcu, żywi się przeważnie myszami, w Kwietniu ma już glisty, pędraki, jaszczurki, gdy ze snu się zbudziwszy wyłażą wygrzewać się na słońcu, już i ptactwo drobne uwiło gniazdka po krzakach i pilnie siedzi na nich. Maj — to już dla lisa raj, żywi się do syta chrząszczami lub na łąkach żukami, zjada też kopami młode zajączki, i tak dalej, w każdym miesiącu spada dla niego z niebios manna.

Nora, którą zamieszkuje, najczęściej nie jest dziełem jego pracy, lis bowiem nie obdarzony z natury tak silnemi przedniemi łapami i pazurami, jak borsuk, jemu więc pozostawia ten trud i gotową annektuje. Jakkolwiek lis nie przestrzega w wnętrzu nory tyle porządku, ile borsuk, to jednak nieczystości nie bardzo znosi.

Skoro liszka poczuje skutki miłości, przestaje odbywać zwykłe wędrówki, szuka dogodnego legowiska, zalotnicy już nie prześladują ją, z wyjątkiem jednego. Wchodzą więc oboje do wspólnego mieszkania, w którem mimo skromnych wymagań co do komfortu, nie jedno trzeba zmienić lub poprawić. Przebiegła samka stara się o ile może ciągnąć korzyści z niewygasłych jeszcze uczuć małżonka, i zaprzęga go do wspólnej pracy. Naprzód oczyszczają norę z nieczystości, zwykle starego barłogu, zarzuconego wewnątrz najrozmaitszem śmieciem, u wejścia zaś zgniłem liściem, następnie znoszą mech, suchą trawę, a nawet szmaty, szerść bydlęcą lub końską, z których ostatnią niezupełnie wylenioną i wiszącą w dużych zwitach gubią chłopskie konie na pastwiskach. Badacze przyrody dostrzegli, że pewien gatunek lisów afrykańskich nie tylko nieustępuje lisowi europejskiemu pod względem zmyślności i przebiegłości, ale go nawet przewyższa mając wrodzoną żyłkę do kradzieży nie tylko artykułów żywności, ale także innych przedmiotów, jak kołder, butów, i t. p. Zapewnić mogę, iż nasz lis posiada również ów przymiot, jest bowiem artystą-złodziejem. Pewnej wiosny, roku nie pamiętam, orały pługi moje na polu przy samym lesie. Jak wiadomo, włościanie mają swyczaj przy każdej cięższej robocie zdejmować wierzchnią odzież Było to w Kwietniu, słońce już dobrze przygrzewało, więc parobcy zdjęli odzież i poskładali ją w bliskich krzakach. Gdy w południe wybierali się do pobliskich chat, jednemu zginęła świtka. Kto ją mógł wziąć — domysły były różnorodne, podejrzywano żebraka podówczas koło krzaków przechodzącego, to znanego złodzieja jakiegoś, świtka ostatecznie się nie znalazła. Dopiero w następnej wiośnie jeden z moich parobków wyszukując w lesie młode dębczaki w celu ukręcenia z nich wici, zaszedł w miejsce, gdzie się znajdowała nora lisia, i do-

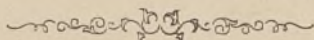
strzegł śród nieczystości wywleczonych przez lisy z jamy ową zgubioną w przeszłym roku świtkę. Podobne kradzieże często wydarzają się chłopom rąbiącym drzewo w lesie, robotnikom w polu lub pastuchom. Zbrodnie te zwykle przypisywane dwunożnym, popełniane bywają przez czworonożnych złodziejów. Pewnego razu wykopując z nory zaduszonego przez mego jamnika lisa, ujrzałem w barłogu potarganą w kawałki, błękitną, wełnianą czapkę, jaką niegdyś nosili chłopi w okolicy Lwowa, było też tam dosyć pierza rozmaitego ptactwa, przeważnie kuropatw.

Skoro młode lisięta już nieco podrosną, budzi się w nich instynktowo zmysł porządku, więc w naturalnej potrzebie wychodzą z jamy, i wypróżniają się zawsze w jednem miejscu, o czem nieraz naocznie się przekonałem, znajdując takie lisie odchodki. W każdy dzień pogodny wychodzą także z nory w celu wygrzewania się na słońcu, lub dla igraszki z sobą, co czynią tak jak zwykłe psie szczenięta. Raz podszedłem cichaczem lisięta, a było ich czworo, na takiej zabawie, nawet jedno z nich złapałem, gdy się oddaliło od jamy, przyczem ugryzł mnie w palec dotkliwie lubo nie był większy od półrocznego kota, a kąsał i pryskał tak, że dopiero zdjąwszy z siebie bluzę i przykrywszy nią, mogłem go chwycić i zanieść do domu. Umieściwszy owego lisika pod łóżkiem dawałem mu mleko, zastrzelone wróble, ale nic nie chciał jeść, więc w czwartym dniu zaniosłem go do nory, do której też z wielką skoczył szybkością. Młody lis do roku prawie nie ma jeszcze sprytu, a nie znając niebezpieczeństwa, jest nieostrożnym. W roku 1878 w liczniejszem towarzystwie, do którego przyłączyły się także Panie, udaliśmy się do pobliskiego gaju podszytego leszczyną na orzechy. Pomimo głośnej rozmowy, śmiechu i spiewu, postępował za nami młody lis, z głupkowatą ciekawością przyglądając się nam. Spłoszony powiewaniem chustek i machaniem parasolek skoczył na bok, ale po chwili wrócił. Tak przeprowadził nas aż na brzeg lasu. — Z wiekiem coraz więcej objawia się w nim wrodzony zmysł łupiestwa i chytrości, a w miarę przebytych niebezpieczeństw, także ostrożności. Że lis nie trzyma się stale miejsca urodzenia, i często już późną jesienią lubi się włóczyć po odalonych od jam stronach, dowodzi ta okoliczność, iż podczas jesiennych łowów w kniei lisy nie kryją się przed ogarami lub nagonką w bliskich w norach, lecz wymykają w czyste pole, a czynią to niezawodnie z tego powodu, że o tych norach nie wiedzą jako zdala przyszłe, w przeciwnym razie szukałyby niezawodnie w nich schronienia, jak to się dzieje z miejscowymi lisami, które przy pierwszem odezwaniu się ogarów lub nagónki, co tchu do swych gniazd spieszą. Kiedy przezorny łowczy każe w dniu łowów z pierwszym brzaskiem pozatykać jamy i wszelkie kryjówki, które przemyślny lis w lesie i w polu dla swego bezpieczeństwa wygrzebuje, wtedy goniony nie wymyka w pole, lecz tak jak zając długo w kniei okłada, co najlepszym jest dowodem, że lis taki jest miejscowym, a nie chwilowo w miocie przebywającym. Do ogólnej charakterystyki lisa przytoczę zdarzenie, którego wprawdzie nie byłem naocznym świadkiem, ale mam je od człowieka z rzadkim u myśliwych przymiotem wstrętu do pływania, potwierdzone przez trzech naocznych świadków. We wsi Jasionce, w głębokich Samborskich górach położonej, p. Os. przechodząc koło olbrzymiego buka w głębokim lesie, gdzie na kroków parę tysięcy w okręgu nie było jam ani borsuczych ani lisich, posłyszał wychodzące z owego drzewa wewnątrz spróchniałego jakieś skomlenie. Trzej obecni leśni sądząc, że się tam gniazdo kuny znajduje, poczęli debatować nad sposobem dobrania się do niego. Zewnętrzny otwór dziupła był za ciasny, iżby można było przezeń się wcisnąć, więc rozszerzali go siekierami, ale jakoś to trudno szło, bo buk lubo wewnątrz próżny z wierzchu był twardy jak żelazo, jęli się przeto w końcu zwykłego sposobu wykurzania. Napełnili otwór suszem, podpalili ten stos, mokrym na pół zgniłym liściem przykrywszy, w celu wytworzenia gęstego dymu Po chwili począł dym przeciskać się kilku otworami przy pierwszych konarach. Pan Os. bacznie patrzał z odwiedzionymi kurkami u dubeltówki, ku wierchołkowi drzewa, leśni też ze swemi pojedynkami przygotowani byli do strzału, gdyby według ich mniemania kuna, a może nawet żbik lub ryś chciał dołem umykać Po 20 może minutach usłyszeli wyraźnie upadek jakiegoś przedmiotu na kurzące się ognisko, którego też połowa na ziemię się wysypała. Jeden z leśnych strzelił w środek kurzyska, i zabił — lisa, czyli raczej liszkę, a po chwili spadały jeden po drugim troje młodych, z których dwoje już martwe, trzecie zaś wkrótce zdechło. Przy bliższem rozpatrzeniu drzewa spostrzeżono, że dziupło w górze miało jakoby gzems, na którym liszka gniazdo założyła. Miało ono zupełną cechę stałej siedziby, legowisko bowiem było jak zwykle starannie wyścielone, a lisięta miały około sześciu tygodni, więc nadto małe i niedołężne, by mogły z matką tam chwilowego tylko szukać schronienia. Oglądałem sam to miejsce, i znalazłem prócz pierza także kości i turzycę z pożartych zajęcy. Przykład taki zbaczający od zwyczaju zakładania gniazda w norach, nie może wprawdzie być uważany jako normalny, owszem jako wyjątkowy, wszelako zdaje mi się, iż one dosyć często muszą się wydarzać, ale jako niezwykłe bywają niedostrzeżone. Wyżej już przytoczyłem przykład stwierdzony własnem doświadczeniem, że lisy nie tylko stare, ale nawet jednoroczne, w lecie i w zimie nie wiele dbają o swe jamy, lecz włóczą się dniem i nocą po czystem polu i kniei, byle tylko tam miały jakie schronienie od skwaru słońca, w zimie od mroźnego wiatru, zasypiają dosyć twardo krzepiąc znużone siły nieustannem tropieniem żeru wyczerpane. Ochrony w norze szukają jedynie podczas burzy, śnieżnej zadymki lub długotrwałej słoty. Z tego naturalny wynika wniosek, iż lisy nie koniecznie potrzebują podziemia dla swego gniazda, mnożyłyby się też na powierzchni ziemi, gdyby na niej znalazły spokojne, ciepłe, suche i zabezpieczone od wszelkiej napaści legowisko. Krycie się w norach wypływa więc z wielkiej tego zwierzęcia przezorności, a w okolicy bezleśnej z konieczności. — Wiadomo, że nasze zwierzęta dzikie, jak: niedźwiedzie, wilki, rysie, żbiki, wydry, tchórze, kuny; tropikalne zaś: lwy, tygrysy, hyeny, szakale i t. p. wcale nie są stale żyjącemi na ziemi, często obierają jaskinie skalne lub ziemne na gniazda swoje, lub na schronienie podczas burzy. Zewnętrzna postać lisa nie pozwala się domyślać w nim mistrza w wciskaniu się do jam podziemnych, korpus jego krótki, nogi dosyć wysokie wcale do tego nieodpowiednie, włazi więc w norę nie trybem naturalnym, lecz raczej sztucznym naginając swe ciało do tej czynności. Widocznem jest przeto, iż nie jest on od natury przeznaczonym do stałego zamieszkiwania podziemi, jak borsuk, które zwierzę zamierzam tu dokładniej opisać. Czynię to nie w zamiarze pouczania łaskawego czytelnika, któremu może tryb życia owego zwierzęcia dokładniej, jak mnie jest znane, lecz raczej dla uzupełnienia obrazu, który naszkicować postanowiłem.

Pod względem powierzchowności kształtów jest jamnik dzisiejszy dosyć podobnym do borsuka, a ośmielam się twierdzić, że przed wiekami, gdy jeszcze żył w stanie dzikim, musiał być jeszcze bardziej do niego podobnym, kształty jego

bowiem były zapewne znacznie grubsze i wyrazistsze, szerść dłuższa i ostrzejsza. co też dziś jeszcze w czystej, nie angielskiej rasie jamników dostrzedz można. Mają one włos wprawdzie krótki, ale o wiele ostrzejszy, jak u ogarów. Korpus długi na niskich osadzony nogach, tak jak u borsuka widocznie daje jamnikowi przeznaczenie wsuwania się do nor, które swemi w duże pazury zbrojnemi łapami przedniemi z łatwością wygrzebywać umieją. Podobieństwem kształtów zbliżają się do borsuka wszelkie dzikie zwierzęta do klasy łasicowatych należące, do której też niektórzy naturaliści również borsuka zaliczyli, lecz czy słusznie, o tem wątpię. Gdyby ci uczeni zechcieli byli zwrócić swą uwagę na jedną tylko właściwość borsuka — na sen zimowy, byliby już z tego powodu stanowczo wyłączyli go z klasy łasicowatych. Wreszcie wyróżnia go od nich wyraźnie stałe zamieszkiwanie podziemi, żerowanie tylko w nocy, jakoteż nieumiejętność jego wspinania się na przedmioty w górę się wznoszące, jak drzewo, skały, szczyty dachów, w czem odznaczają się wszystkie zwierzęta łasicowate. Gdybyśmy klasyfikacyę zwierząt normowali, jak owi naturaliści, jedynie podobieństwem kształtów, to musielibyśmy borsuka umieścić w rzędzie psów, jak bowiem wyżej wskazaliśmy, pies jamnik co do powierzchowności swej wiele ma podobieństwa do borsuka. A jednak byłaby taka klasyfikacya istną niedorzecznością. Raczej zgodziłbym się z mniemaniem owych badaczów, którzy borsuka do niedźwiedziowatych zaliczają, bacząc wszakże na odrębny jego tryb życia, żerowania, stałej siedziby pod ziemią, sądziłbym, iż stanowi on wraz z pokrewnym mu jeżem, a nawet kretem osobny rodzaj. Te trzy odmienne nieco co do kształtów, ale trybem życia wielce do siebie zbliżone zwierzęta, nazwałbym z i e m n i a k a m i. Przyrodnikom jako też myśliwym wiadomo, że owe zwierzęta zasypiają snem zimowym, a twierdzenie, iż jeż gromadząc zapasy żywności na zimę tem samem dowodzi, iż w zimie nie zasypia, jest według mego przekonania bezzasadnem, albowiem nie jeden z badaczów stwierdził, a i ja też przekonałem się, że jeż tak jak borsuk i kret żadnych zapasów na zimę nie gromadzi. Niektórzy twierdzą, że jeż tarzając się śród jabłek nabija je na swe kolce i znosi do nory, w której oprócz komory ma się też znajdować spiżarnia, gdzie oprócz jabłek i gruszek składa różne korzonki, i tem się w zimie żywi. Są to czcze i bezzasadne pogłoski, albowiem jeż nie grzebie sobie nory stałej, wiosną, latem i jesienią mniej więcej do połowy Listopada, nie mogąc znieść dziennego światła, przebywa w norze gdziekolwiek wykopanej, z której wraz z zachodem słońca na żer wychodzi. Czasem tylko wraca z brzaskiem dnia do tej samej nory, najczęściej tam, gdzie żerował, zagrzebuje się w ziemi z wielką łatwością, bo przednie jego łapki ostrymi pazurami opatrzone, a pomaga sobie ostrym pyszczkiem. Tam zasypia w kłębek zwinięty grubo obsypawszy się ziemią, bo nie znosi promieni słonecznych i w ogóle światła dziennego, a powietrza dziwnie mało potrzebuje, o czem nieraz się przekonałem. Nasłuchawszy się i naczytawszy przeróżnych zdań o trybie życia tego zwierzątka, powziąłem zamiar bliższego zbadania. Nie miałem w tem trudności, mieszkałem wówczas w Złoczowskiem, w pobliżu domu był mały gaik różnych drzew, a przeważnie czereszniowych, dosyć podszyty, położony śród pól. Było w tym gaiku wiele jeżów, które spostrzegałem nieraz w nocach księżycowych aż na moim dziedzińcu zwłaszcza, że psy ujadając na zwiniętego w kłąbek wskazywały mi go. Psy chociaż bardzo cięte nie tknęły jeża, dla którego tylko orzeł, jastrząb i człowiek groźnym jest wrogiem. Badałem więc to zwierzę w każdej porze roku t. j. od wiosny aż do późnej jesieni, gdy mocno wypasione zagrzebują się na zimę w ziemi. Zależało mi na tem zbadać, czyli też i jakie zbierają zapasy żywności na zimę, więc naznaczywszy sobie w jesieni miejsca, gdzie się zagrzebały, odgarnąłem w Grudniu grubą warstwę śniegu oskardami, jakoteż zmarzłą powierzchnię ziemi, i tym sposobem docierałem do wnętrza ich legowiska, i znachodziłem jamkę na łokieć długą i szeroką, dosyć obficie mchem i zeschłą trawą wyścieloną, a w niej spiących czworo jeżów, mianowicie starą samicę i troje małych jeżąt. Spało to biedactwo twardo, niezbudziło się, chociaż żelazne oskardy krusząc zmarzłą ziemię czyniły hałas nie mały. Zanim napowrót zasypałem ziemią te małe stworzenia, przeszukałem dobrze całą norkę, ażali gdzie nie odkryję śladu nagromadzonej żywności, i nie przekonam się naocznie, z czego ona się składa, atoli nigdzie nie wykryłem jej, a co ważniejsze, nawet odchodów owych zwierzątek. Dwa razy w tym dniu kopałem, i znachodziłem po jednym jeżu, zkąd wynikł wniosek, że jeż tak jak borsuk zasypia na zimę snem letargicznym, i z tej przyczyny żadnej żywności wtedy nie potrzebuje. Stwierdziłem również, że roślinnych pokarmów nie używa, albowiem wiele razy i w różnych porach badałem żołądki tych zwierzątek, i nigdy nie znalazłem w nich roślinnych pokarmów, ani jabłek, których w tym gaju dzikich była wielka mnogość, ani czereśni, — były tam tylko resztki zwierzęce, zwłaszcza myszy, młode, i wszelkiego rodzaju robaki, glisty ziemne, świerszcze polne i domowe, które łowił w ścianach pasieki w gaju znajdującej się w wielkiej ilości. Pod względem trybu życia przekonałem się, iż jeże podobnie jak borsuki nie żyją gromadnie na powierzchni ziemi, lecz osobno w jej wnętrzu. Wykopana stara jeżyca wraz z trojgiem młodych z tej tylko przyczyny cierpiała je obok siebie, iż instynktowa miłość macierzyńska nie ustąpiła jeszcze innej namiętności, parkoci, która gdy z wiosną nadejdzie, wnet potomstwo swoje od siebie odtrąca i porzuca. Samce znachodziłem pojedyńczo zagrzebane, a zdaje się, że i samice żyją odosobnione, gdy im młode wyginęły, lub gdy ich wcale nie miały. Jeż najchętniej zakłada norę gniazdową pod dużemi drzewami, między korzeniami, gdzie ziemia bywa zwykle sucha i niezbyt twarda, co do wyścielenia jej mchem lub trawą nie bardzo jest starannym. Jeż więc pod względem trybu życia nie wiele się różni od borsuka, nieco tylko odmiennie w przesypianiu zimy, jeż każdy osobno, borsuk zaś samiec obok samicy i młodych. Jeden jak drugi nie mają potrzeby gromadzić zapasów na zimę, spią bowiem twardo, a gdyby nawet nie spały, to nie mogłyby żadną miarą pokarm zwierzęcy, którym wyłącznie żyją, ochronić od zepsucia. Nie można się dziwić ludowi, iż fałszywe wieści głosił o życiu wielu dzikich zwierząt, a między niemi o jeżu i borsuku, ale jakżeż usprawiedliwić baśnie rozszerzane drukiem przez dawnych badaczów przyrody, chyba że zbierali ową zdobycz naukową nie w puszczy i borze, lecz w wygodnym fotelu słuchając opowieści, których sprawdzić nie trudzili się.

(Ciąg dalszy nastąpi).



RYBY GALICYI.

Spis ułożony przez Dra M. Nowickiego.

Kraina	Gatunki ryb podane w porządku, w jakim w ogólności po sobie następują w rybnych krainach rzek od źrodeł do ujścia	Rozsiedlone według dorzecza: Wisły	Styru (Dnipru)	Dniestru	Prutu (Dunaju)		krain rybnych: pstrąga	brzany	leszcza	jezior: dolnych	górskich
a. Kraina pstrąga	**Pstrąg**, pstruh, struh	1*	—	1	1	. . .	1*	z	z	—	1
	Głowacz pręgopłetwy, głóc, baba	1	—	1	1	. . .	1	—	—	—	.
	Śliz, słyz	1	1	1	1	. . .	1	1	1	1	.
	Strzebla, strzewęga, zderka, bzderka, meresnycia	1	—	1	1	. . .	1	1	1	—	.
	Minożek, hadie ślipe	1	1	1	1	. . .	1	1	1	—	.
	Głowacz białopłetwy, głóc, baba, hołowacz	1	—	1	1	. . .	1	1	1	--	.
	Lipień, pyr, per	1	—	1	0	. . .	1	1	z	—	.
	Łosoś	1	0	0	0	. . .	1	1	1	—	1
	Głowacica, hołowatycia	0	0	0	1	. . .	1	1	—	—	1
	Brzanka, brzana gładkopłetwa, maryna	1	.	1	—	. . .	1	1	1	.	
	Klonek, jelec, kłeń, kłeńczuk	1	1	1	1	. . .	1	1	1	1	
	Węgorz, uhor	1	0	0	0	. . .	1	1	1	1	
	Kiełb krótkowąsy, kowbel	1	1	1	1	. . .	1	1	1	1	
	Piekielnica, ukleja czarna, szweja	1	.	1	1	. . .	1	1	1	1	
	Świnka, pidustwa	1	.	1	1	. . .	1	1	1	.	
b. Kraina brzany	**Brzana**, b. piłopłetwa, parma, maryna	1	.	1	1	. . .	.	1	1	1	
	Miętus, mniuch, meniok	1	.	1	1	. . .	.	1	1	1	
	Szczupak, szczuka	1	1	1	1	. . .	.	1	1	1	
	Jelec, jarąg, jałeć	1	1	1	1	. . .	.	1	1	1	
	Koza, sykawka, sykawycia, sykora	1	1	1	1	. . .	.	1	1	1	
	Siekierka, pukas, popadia	1	1	1	1	. . .	.	1	1	1	
	Okoń, okuń	1	1	1	1	. . .	.	1	1	1	
	Ukleja, u. biała, okłeja, werchowodycia	1	.	1	1	. . .	.	1	1	1	
	Babka kostrusa, hwozd	0	.	1	1	. . .	.	1	1	1	
	Cyrta, czarownica, rybec, synohuba	1	.	1	.	. . .	.	1	1	.	
	Pajelczyk	1	.	.	.	. . .	.	1	1	.	
	Kiełb długowąsy, kowbel	1	.	1	.	. . .	.	1	.	.	
	Czop wielopromienny, czip	0	.	1	1	. . .	.	1	1	.	
	Czop małopromienny, czip	0	.	—	1	. . .	.	1	—	.	
	Babka nagowieka, czopyk	0	.	1	.	. . .	.	1	1	.	
	Babka Trautvettera	0	.	1	.	. . .	.	1	.	.	
	Babka Kesslera	0	.	1	.	. . .	.	1	.	.	
	Jazgar, bazgier, jazgir	1	1	1	.	. . .	.	1	1	1	
	Błyskotka, słonecznica, kaczoryna	1	1	1	.	. . .	.	1	1	1	
	Kolka, kolączka	1	0	0	0	. . .	.	1	1	1	
	Karp, korop, szaran	1	.	1	1	. . .	.	1	1	1	
	Lin, łyn, łeń	1	1	1	1	. . .	.	1	1	1	
	Płotka, pł. biała, płotycia	1	1	1	.	. . .	.	1	1	1	
	Czerwionka, płotka czerwona, czerwinka krasnopera	1	1	1	1	. . .	.	1	1	1	
c. Kraina leszcza	**Leszcz**, kliszcz, łeszcz	1	1	1	—	. . .	.	.	1	1	
	Krąp, picuś, łeszczyk	1	.	1	—	. . .	.	.	1	1	
	Boleń, bolonek, fat	1	1	1	—	. . .	.	.	1	1	
	Sum, som, sim	1	1	1	1	. . .	.	.	1	1	
	Jaź, jaźwica, jazica	1	1	1	—	. . .	.	.	1	1	
	Sandacz, sandatka, sudak, sedak	1	.	1	—	. . .	.	.	1	1	
	Wyrozub, wirzub	0	.	1	—	. . .	.	.	1	.	
	Sapa, łeszcz	.	.	1	—	. . .	.	.	1	.	
	Jesiotr	1	0	0	0	. . .	.	.	1	—	
	Szyp	0	—	1	—	. . .	.	.	1	—	
	Czeczuga, czyczuha	0	—	1	—	. . .	.	.	1	—	
	Siewruga, sewrjuga	0	—	1	—	. . .	.	.	1	—	
	Sierotka, jazgar	0	.	1	.	. . .	.	.	1	.	
	Oseledec (koza, ciosa)	0	.	1	—	. . .	.	.	1	.	
	Dubiel, bastard	1	.	.	.	. . .	.	.	.	1	
	Płocio-leszcz, bustard	.	.	1	.	. . .	.	.	1	.	
d. kraina karasia	**Karaś**	1	1	1	1	. . .	1	1	1	1	
	Piskorz, pyskor, wiun	1	1	1	1	. . .	1	1	1	1	
	i inne gatunki poprzednich krain, np. lin szczupak.										

* Liczba 1 oznacza gatunki znajdujące się w dorzeczach i krainach rybnych, 0 brak gatunków w pewnych dorzeczach, — także brak takowych w tej lub owej wodzie, z gatunki zabłąkane w niewłaściwej im krainie.

ŁOWY W ROSSYI PÓŁNOCNEJ.

Podczas gdy w zachodniej Europie polowanie uważane bywa jako szlachetna rozrywka, staje się ono w północnych i zachodnich stronach Rossyi głównem źródłem zarobkowania ludności. W Rossyi europejskiej najpółnocniejsze gubernie: Archangelska, Ołonezka i Wołogdańska dostarczają większym miastom nietylko Rossyi, ale także Niemiec a nawet Francyi zwierzyny, ptactwa, a nadto znacznej ilości futer. Te trzy gubernie zajmują 26.000 mil kw. przestrzeni z ludnością zaledwo półtoramilionową, złożoną w części tylko z rossyjskich mieszkańców, zresztą z Syrienów (fińskiego pochodzenia), a na krańcu północnego wschodu z Samojedów. Olbrzymie lasy szpilkowe rozlegają się na owych przestrzeniach. Im dalej ku północy, tem więcej znika wegetacya drzew, tem szerzej rozciągają się mszyste bagna (tundra), aż do morza lodowatego. Przestrzenie owe lasów i mchów są przeważnie własnością państwa. Tylko w pobliżu rzek bywają lasy exploatowane, zresztą odwidza je tylko stopa łowca. Leśnictwa rządowe mają niezmierne rozmiary. Przestrzeń leśna Wołogdy, wynosząca przeszło 30 milionów hektarów, podzieloną jest na 17 nadleśnictw z liczbą 520 strażników, która wszakże nigdy nie jest w pełni obsadzoną. Włościanin płaci państwu mały podatek za prawo polowania. Czasem sam go tylko używa, najczęściej tworzą się spółki (artele), złożone z trzech lub czterech osób. Głównem wymaganiem myśliwca jest tak zwany putik, wąska, przez las ciągnąca się, wycięta ścieżka, na której zakładają się różnorodne sidła, kopią doły, ustawiają rozmaite narzędzia łowcze. Putik jest własnością uświęconą, której naruszyć się nie godzi. Nigdy nikt nie nawidza putika obcej spółki łowieckiej, przechodzi on spadkiem z jednego pokolenia na drugie. Jeżeli jedna rodzina wymrze lub się wyniesie, to putik przechodzi na własność gminy, która albo go wydzierżawia, lub oddaje komu z przynależnych do niej, albo wreszcie kościół nim obdarza. Cała niezmierna przestrzeń leśna poprzecinana jest takiemi ścieżkami, a zakładane one bywają w miejscowościach, w których jagody, woda i wszystko, czego zwierzyna potrzebuje, w obfitości się znajduje, ciągną się daleko, i mieszczą w sobie tysiące przyborów łowczych, zastawionych głównie na jarząbki, pardwy i cietrzewie, jamy zaś kopią się na niedźwiedzie, wilki, rosomaki, ale mają zawsze podrzędne znaczenie. Do każdej z takich ścieżek należy buda strażnicza z chłodnym przechowkiem dla złowionej zwierzyny. Wcześnie w lecie porządkuje się wszystko, sama ścieżka, buda, łapki, sidła itd., ale ostatnie nie nastawiają się jeszcze. Po sianokosach około 1 Września (starego stylu) opuszcza połowa męska ludności wsie, i wyrusza w lasy. Przygotowania do pochodu nie wiele zabierają czasu, oczyszcza się starą skałkową rusznicę z ołowianym stemplem, grubości kalibru strzelby, zabiera się róg z prochem na rzemieniu, przy którym uczepione: szrubsztak, kawał drutu do czyszczenia panewki, woreczek z krzemieniami i przybitkami, a przy tem wszystkiem jeszcze nieco żywności. Pies radośnie skacze przed swoim panem, upływa już bowiem dla niego czas głodu, wnet pożywi się do syta wiewiórkami. Zwykle wyruszają z brzaskiem dnia. Myśliwy wyszedłszy z domu, zwraca się ku wschodowi, i odmawia modlitwę, przyczem wzywa swego patrona o pomoc w łowach, następnie spieszy z radością do lasu. Las jest dla Syriena treścią wszelkiej szczęśliwości, on jego wychowawcą, żywicielem, dawcą wszelkich uciech. Zaledwie kilka kilometrów postępuje utorowaną drogą, potem obejmuje go w około tajemnicza ciemność, w której jednak bez trudności odszukuje swego putika i budę łowiecką. Wszystko już przygotowane, nastawić tylko należy. Gdyby łapki były przedtem nastawione, to złowiona w nich zwierzyna zepsułaby się, a Syrien nie jest wcale amatorem ścierwa. Natychmiast po przybyciu na miejsce zabiera się do roboty. Opatruje budę, poprawia piec, zabija drewniane kołki w ścianę w celu zawieszenia na nich przyborów, rozpina w okienku zamiast szkła nowy pęcherz itd. Z szczególną troskliwością opatruje jamę przeznaczoną na skład zwierzyny. Wreszcie nastawia łapki i sidła. Łowy na putiku trwają cały miesiąc a nawet i dłużej. Gdy Syrien jest sam, to niesłyszy w ciągu tego czasu głosu ludzkiego, chyba sam do siebie przemawia lub wieczorem nuci monotonne pieśni, nigdy wszakże pełnym głosem. Natomiast wiedzie hałaśliwą rozmowę z swoim wiernym towarzyszem i przyjacielem, a czyni to zaraz po wstąpieniu do budy. Wtedy tylko obchodzi się z nim łagodnie i przyjaźnie, zresztą traktuje go nielitościwie i surowo. Odtąd przegląda starannie w każdym dniu łapki i sidła. Lubo zawsze strzelba zawieszona na ramieniu, używaną bywa tylko w ostatecznej potrzebie, gdy niedźwiedź, lis lub rosomak zwabione przez złowione ptactwo, na ścieżce się ukażą. Wie o tem dobrze Syrien, że zwierzyna strzałem się wypłasza, cisza rozlega się więc w lesie, lubo gęsto w nim myśliwych, w śamej bowiem przestrzeni Jareńska i Solwiczegrodzka w gubernii Wołogdańskiej znajduje się ich około 15.000. Rezultat łowów jest naturalnie rozmaity w miarę miejscowości, liczby przyborów łowieckich, zręczności w ich ustawieniu itd. Jako przynęta służy głównie jarzębina, której jak najwięcej w tym celu mają w zapasie. Gdy się na miejscu nie urodzi, przywozi ją Syrien nieraz z odległości setek kilometrów, i płaci za funt często 50 do 60 kopijek. Najpożądańszą zwierzyną jest jarząbek, nieco mniej cietrzew, pardwa zaś najmniej. Głuszca wcale prawie nie szukają, bo jest ciężki, i mało zań płacą, służy on więc najczęściej myśliwemu i psu jako pożywienie na miejscu łowów. Złowiona czy zastrzelona zwierzyna zarówno bywa uważana, lubo z łatwością może być odróżniona. Wprawdzie złowiona w sidłach jest lżejszą, miększą, z ciemniejszą skórą, ale popyt o nią jest tak wielki, że handlarze na wielkich targowiskach nie odróżniają jej. Za parę płacą gdzieniegdzie poza temi targowiskami około 10 kopijek mniej.

W Październiku, gdy już wiewiórka odziała się zimową suknią, kończy się polowanie na putiku, a rozpoczyna na wiewiórki, a jest ono najważniejsze. Biją się wtedy inne zwierzęta dostarczające futra, jak niedźwiedź, rosomak, ryś, kuna, wydra, norka, ren, łoś, lis, tylko przypadkowo. Powodzenie na takiem polowaniu zawisło od mniej lub więcej obfitych nasienników smerekowych, stanowiących główne pożywienie wiewiórek. Łowy trwają aż do początka Grudnia, wtedy już gruby pokład śniegu czyni je niemożliwemi, a myśliwi spieszą do domów w celu pozbycia zdobyczy. Wtedy dopiero rozpoczyna się handel zwierzyną, poczem natychmiast cena jej spada.

Gdy w końcu zimy śnieg się zniży i pokryje ziemię twardą skorupą, po której można na łyżwach biegać, rozpoczyna się polowanie na nowo. Psu przypada przy niem najważniejsza rola. On wietrzy wiewiórkę i oszczekuje ją. Żyje ona przeważnie w smerekowym drzewostanie, lub takim, w którym

smerek dominuje, w sosnowym tylko wtedy, gdy smerek nie ma dosyć nasiennika lub w czasie polowania. Myśliwy idzie za głosem psa. Gdy nie spostrzeże zwierzęcia pośród gęstej korony drzewnej, uderza toporzyskiem w drzewo, płoszy je i strzela. Kiedy te uderzenia są bezskuteczne, nacina drzewo, a gdy się i wtedy przyczaja, ścina zupełnie, co się dzieje zwykle przy grubszych pniach, przy cieńszych bowiem uderzenia wystarczają. Jeżeli zastrzelone zwierzę zawiesi się na gałęzi, ścinają drzewa, również w celu przywołania psa, gdy fałszywym tropem goni. Ścinaną więc bywa taka masa pni, że w okręgu Jareńska, i Solwiczegródzka na przestrzeni leśnej 11 milionów hektarów smerekowego drzewostanu stały się już rzadkimi. Gdy się kończy polowanie na wiewiórki, poczyna się tokowanie ptactwa, które jednak nie wszędzie bywa spożytkowane.

Co do zdobyczy łowieckiej, obliczają ją w obu wspomnionych okręgach gubernii Wołogdańskiej na 10 do 15 par jarząbków i cietrzewi w wartości 30 kopijek za parę, i tyleż pardw po 20 kopijek na każdego myśliwego, co wynosi zarobku 5 do 7 rubli. Do tego przyłącza się ubita przytem zwierzyna inna. Wiewiórek łowi każdy w przecięciu 400 sztuk po 14 do 17 kopiejek, i zarabia na nich około 65 rubli. Ponieważ liczba ogólna myśliwych w wymienionych okręgach wynosi 15.000, to musiałoby wyjść ztamtąd na targowiska 3 do 450.000 par ptactwa i 6 milionów skórek wiewiórczych.

Mniej wydatne zdają się być łowy w Ołonezu, gdzie mianowicie w r. 1878 wiele ptactwa w skutek ciepłej jesieni wyginęło. Według urzędowych sprawozdań wyszło ztamtąd na targ z ptactwa (z całej gubernii) w roku 1876: 118.364 par w wartości około 41.244 rs., 1877: 116.493 par w wartości 33.525 rs., 1878: 111.576 par w wartości 30.235 rs.

Zajmowało się łowami na ptactwo w r. 1878 5950 osób, zarobek pojedyńczej wynosił zatem nieco więcej jak 5 rub. sr. tyleż prawie w Wołogdzie.

Z zwierzyny czworonożnej ubito:

	1876.	*1877.*	*1878.*
Niedźwiedzi	247	263	188
Wilków	134	149	98
Lisów	472	418	338
Kun	216	156	167
Zajęcy	22 298	22.368	19.679
Wiewiórek	123.981	112.016	155.298
Renów i łosiów . .	271	160	176
Rozmaitej	1.001	828	860
W wartości rubli sr.		30.685	24.586

Liczba myśliwych wynosiła w r. 1878: 3.850, pojedyńczy zarobił więc mało więcej jak 7 rs.

Jak wiadomo włościanie mają także w tem znaczny zarobek, że wyszukują zimowe lęgowiska niedźwiedzie, i sprzedają je zamożnym myśliwym. W taki sposób ubił w końcu Grudnia roku 1878 i w początku Stycznia 1879 Anglik Wishaw w jednym okręgu gminnym gubernii Ołoneskiej 14 niedźwiedzi w lęgowiskach, za które płacił po 35 rs. za sztukę, inny myśliwy ubił 3, za które płacił po 45 rs.

W zachodniej Syberyi są Irbit w gubernii Permskiej i Obdorsk nad niższą Obą, głównemi targowiskami. W Irbicie zbyto około końca ubiegłej zimy półtora miliona skórek wiewiórczych, w przecięciu po 18 kop, jakoteż 100.000 skórek zajęczych. W Obdorsku sprzedano za 116.317 rs. Rossyanie i Syryeni, uważani jako miejscowi mieszkańcy, dostarczyli towaru za 46.579 rs.; obcy t. j. Ostjacy i Samojedzi za 69.733 rub. sr. W tej liczbie było: ciemno-bronatnych lisów sztuk 11 w wartości rs. 165, niebieskich lisów 120 w wartości rs. 690, białych lisów 565 w wartości rs. 1860, większych lisów podbiegunowych 6.670 w wartości rs. 10.672, mniejszych 820 w wartości rs. 861, lisów krzyżaków 1.800 w wartości rs. 1.170, niedźwiedzi polarnych 4 w wartości rs. 60, wiewiórek 16.900 w wartości rs. 1.901 25 kopiejek, ogonków wiewiórczych nieco więcej jak 2 cetnary w wartości rs. 552, soboló w 313 w wartości rs. 51 kop. 65, skórek łabędzich 567 w wartości rs. 113 kop. 40, żywych renów 270 w wartości rs. 1.350, jesiotrów 157 cetnarów w wartości rs. 1.200, fiszbinu około 11 cetnarów w wartości rs. 1.924 kop. 88, kości mamutowych koło 7 cetnarów w wartości rs. 1.200.

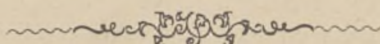
Z wielu miejsc dochodzą żale na ubytek łowów, a ztąd na niedostatek u ludności. Mianowicie na Kamczatce ma się źle dziać. Liczba soboli staje się coraz mniejszą, brak bowiem zwyczajnych łowów. Koczujący Tunguzy, Larmaci, Korjacy rozpoczynają je, gdy pierwszy śnieg w górach spadnie, nim skóra sobola jest użyteczną, a owym „obcym“ przypada trzecia część całej zdobyczy łowieckiej. Najlepszym jest sobol w końcu Stycznia i w początku Lutego. Termin, w którym rząd odbiera daninę w skórach od Kamczadalów, przypada właściwie na czas najlepszego polowania. Muszą oni w tym celu osobiście stawić się po wsiach, i tracić przeto najodpowiedniejszy czas, dostarczają więc lichych skór, ponieważ w tej porze nie mogą mieć jeszcze dobrych. W łapkach ginie wiele od drapieżników, a stawianie łapek przeciąga się aż do Marca, kiedy skóra już nic nie warta, a samice już noszą brzemię.

Prócz polowania i rybołowstwa nie ma Kamczadal innego zarobku. Gdy się łowy nie powiodą, ginie z głodu. Według urzędowych sprawozdań z r. 1877 dostarczyła ludność złożona z 6223 dusz 3529 soboli w wartości po 15 rubli sr. od sztuki 52.935 rs., na głowę przypada więc 8 rs. 50 kop. Połów ryb wynosił 3,327.500 sztuk, które w części w świeżym stanie były spożyte, w części suszone, solone i zakwaszone nie wystarczyły dla ludzi i psów nawet na pół roku.

Rolnictwo nie istnieje, tylko Larmaci i Korjacy (1200 dusz) trudnią się chowem renów.

Zasiłkiem były niedźwiedzie, których 1659 sztuk, i dzikie reny, których 705 sztuk ubito. Ale wszystko to nie wystarcza dla ludności żywiącej się tylko mięsem. Zwierząt dostarczających futer prócz soboli mało się łowi. W r. 1877 443 wydr po 5 rs. — 2215 rs., 849 lisów po 5 rs. — 4245 rs., 10 rosomaków po 5 rs. — 50 rs., 225 sobolów po 30 kop. — 64 rs. 50 kop. To również nie wiele znaczy, ludność literalnie umiera z głodu w większej części roku. Sprowadzanie innych źródeł zarobkowania nie byłoby rzeczą niemożliwą, ale kupcy wyzyskujący kraj, robią na handlu futrami wyborne interesa i starają się z całą usilnością zmuszać ludność do zajmowania się tylko myśliwstwem.

G. u. J. Ł.



*

KORESPONDENCYE.

Lisowice, 24 Października 1882 r.

Wyjątkowo pomyślnym dla myśliwych zamiłowanych w ptasiem polowaniu był ten rok. Któż nie doświadczył osobiście, a jeśli mu przeszkody inne nie stanęły na drodze, niesłyszał przynajmniej o niesłychanym tegorocznym nalocie dubeltów? Cyfry tego ptactwa zabitego w istocie do bajecznych dochodzą rozmiarów. Wiem o trzech myśliwych, którzy na bagnach Brodzkich w tym roku do 500 dubeltów w kilku polowaniach ubili. Kuropatwy w okolicach, w których się dotąd w szczupłej pojawiały liczbie, rozmnożyły się też nadzwyczajnie. Nieprzeczę, iż kilkoletnie przestrzeganie Ustawy łowieckiej na ten przyrost zbawiennie wpłynęło, ale zdaje mi się, iż główną zasługę klimatycznym stosunkom przypisać trzeba. Co do zajęcy i sarn przyrost w tym roku zdaje się zadziwiającym, na co zgadzają się wszyscy myśliwi, którzy w rozpoczynającym się tegorocznym sezonie myśliwskim w tym kierunku spostrzeżenia robili. Dla tego to trudno nam będzie podzielić zdanie kilku pesymistycznych korespondencyi, umieszczonych w „Łowcu", w których autor użala się na ubytek zwierzyny w naszym kraju. Są to jeremiady niczem nieuzasadnione, chyba dawnym, nieuleczalnym nałogiem polskiego szlachcica, narzekającego wiecznie i na wszystko, siedzącego wiecznie z założonemi rękami, i oczekującego tylko pieczonych gołąbków lecących samych do gęby. Nikt tego bowiem niezaprzeczy, że w każdej okolicy naszego kraju, gdzie tylko właściciele polowań dbali są o podniesienie stanu swojej zwierzyny, ten stan się podnosi w miarę ich starań. Władze rządowe też chętnie pomoc niosą w potrzebie, ale od Władz tych nieżądajmy inicyatywy w rzeczy, która jest wydziałem wyłącznym stron interesowanych, gdyż to jest niemożliwe. — Wydział Towarzystwa łowieckiego jest zresztą owym pośrednikiem między stronami a Najwyższą Władzą, wrazie gdyby Władze niższe ociągały się z wypełnieniem swoich powinności. Wydział Towarzystwa łowieckiego zawsze stoi gotów do usługi stron poszkodowanych. Dość o tem na teraz. Wróćmy do ptaków. Nasze Towarzystwo Lisowickie, odbywa teraz swoje jesienne polowanie na ptaki. Wszyscy byli przekonani, iż tegoroczny wyjątkowo pomyślny przelot ptactwa różnorodnego niezliczone ilości słonek też sprowadzi do naszego kraju. Nadzieje zawiodły! W okolicach nawidzanych zazwyczaj przez najobfitsze roje ciągnących długodziobów, mili nasi wędrowcy nie pojawili się wcale, lub przybyli w bardzo nielicznej liczbie. O Lisowickich kniejach tego wszelakoż powiedzieć niemożna. Zastaliśmy tu większą ilość słomek, niż gdzieindziej, pomimo spóźnionej pory. Charakterystyczną jest ta okoliczność, iż w słynnych naszych czaharach Bolechowskich i Taniawskich niezastaliśmy ich wcale, prawdopodobnie z powodu silnych, panujących tu wichrów, a przecież były to ich z dawna znane, ulubione siedziby. Tu poprzednicy nasi generałowie Schlik i ks. Schwarzenberg bili ich po kilkaset co jesieni. Wszystkie słonki, któreśmy tego roku tu zastali, trzymają się w lasach podniosłych, które je od nieustająco panujących wichrów strzegą. Niemogliśmy jednak wyłącznie oddać się łowom na te ulubione ptaki, gdyż w rewirach Lisowickich oszlakowano dwa niedźwiedzie. Wyłącznie oddaliśmy się więc polowaniu na grubego zwierza, dotąd niestety bez rezultatu. Żadnego to prawdziwego myśliwego zadziwić jednak niemoże, wie bowiem, jaka jest trudność spotkania niedźwiedzia na czarnej stopie w tak rozległych zwłaszcza rewirach. Polowanie rozpoczęliśmy zaledwie, i cieszymy się nadzieją, że los w przyszłości trudy nasze wynagrodzi pomyślnym rezultatem. Na teraz tylko cierpliwości, i jeszcze cierpliwości. Nim więc z czytelnikami „Łowca" będziemy mogli się podzielić wiadomością o rezultacie tegorocznych jesiennych łowów naszych w Lisowicach, załączam spis zabitej w pierwszych paru dniach zwierzyny: 1 odyniec, 8 rogaczy, 11 lisów, 7 zajęcy, 1 cietrzew, 6 jarząbków, 9 słonek. O dalszym rezultacie nie omieszkamy uwiadomić szanowną Redakcyę „Łowca". Nadmienić tu wypada, że wbrew pessymistycznym zapatrywaniom autora artykułów lamentujących nad upadkiem zwierzostanu, my w Lisowicach do wręcz przeciwnego dochodzimy przekonania. Zauważaliśmy bowiem, że oprócz niezwykle wielkiej ilości dzików, stan sarn podniósł się do tego stopnia, iż Dyrekcya domen rządowych zmuszoną była postawić nam, w nowo przez nas zawartym kontrakcie dzierżawnym na lat 6, iż pewna ilość sarn na żądanie wyż wzmiankowanej Dyrekcyi ma być za zezwoleniem c. k. Namiestnictwa odstrzeloną, tak bowiem zbyteczne rozmnożenie się sarn w tych rewirach staje się groźnem dla kultur lasowych. Nieprzeczę, iż są w kraju naszym okolice, w których właściciele polowań są niedbali o swe dobro, i kłusownictwo tam grasuje bezkarnie, zaprzeczyć jednak niemożna, iż to są tylko wyjątki, i gdzie tylko właściciele większych obszarów lub Towarzystwa łowieckie zaopiekują się myśliwstwem, tam owoce Ustawy łowieckiej są widoczne, i zwierzostan podnosi się znacznie. Zamiast więc narzekać na kłusownictwo i brak poparcia Władz, każdy z malkontentów uczyniłby lepiej, gdyby się uderzył w piersi i powiedział: „Mea culpa!" sam energicznie zabrał się do naprawienia złego, które w około siebie spostrzega, a w razie potrzeby znajdzie poparcie z pewnością.

Dnia 27 Października.

Rezultat ostateczny tegorocznego polowania w Lisowicach jest następujący: Dwa niedźwiedzie są postrzelone, prawdopodobnie będą znalezione, dzików 5, rogaczy 11, lisów 17, zajęcy 14, cietrzew 1, jarząbków 16, słonek 20, sów uralskich 2, razem sztuk 86 na 277 strzałów.

Leopold hr. Starzeński.

---

z Popowiec 24. Października.

W całym Wrześniu mieliśmy ciepłą pogodę, często polowaliśmy na kuropatwy, z upływem Września rosła u myśliwych nadzieja, że przylecą słonki, nadciągną kszyki, ale niestety doczekaliśmy się Października, a z nim mrozu i lodów niebywałych. Od początku tego miesiąca szalały u nas wschodnio-północne burze, deszcz lał, powlekając lodową massą rudy, pola i gaje, lasy uginają się pod bryłami lodu — straszne zniszczenie w naturze, młode i cienkopienne lasy leżą przygniecione lodem, pola i błota pokryte kilkocalową warstwą lodu. Nikt nie wie, co w takim stanie rzeczy dzieje się z kszykami, kuropatwami, słonkami. Październik to miesiąc wędrówki ptaków, a okolice nasze to szlak zwykły owych wędrowników. Więc ruszamy na łowy, choć burza szumi, deszcz leje, wszak musimy się przekonać, co się dzieje z słonkami i bekasami, wszak wicher północno-wschodni wypędził już zapewne tych

skrzydlatych gości, w przelocie do cieplic, z zamrożonej już Rosyi. Przed kilku dniami wyruszyliśmy na myśliwską wyprawę, szliśmy brzegiem obszernego stawu Popowickiego, i spostrzegamy prawie we wsi na grobli, przy brzegu pokrytym lodem, kilkanaście zbiedzonych kszyków, przebiegających to w tę, to w ową stronę, więc hajże na nich, ale biedaki porywać się niechciały, a wartoż strzelać do siedzących, porzuciliśmy ich. Wtem przechodzi ku nam włościanin z fuzyą przedpotową, pokazuje zabitą na swoim warzywnym ogrodzie słonkę i zapytuje naiwnie: „szo to za ptach? ja ju na rozsadnyku w horodi zabyw!“ W odpowiedzi dostał włościanin kilkanaście kopijek, aby nam wskazał miejsce pobytu owych „ptachów.“ Wnet byliśmy w ogrodzie poczciwego kmiotka, i o dziwo, z pierwszego rozsadnika kapuścianego porwały się dwie słonki, któreśmy zabili. Z drugiego kosza rozsadnikowego porwały się trzy, i padły tak blisko, że widzieliśmy je biegające. Po natarczywym szturmie na nie wzleciały, jedną ubiliśmy, a dwie zapadły na dziesięć kroków, strzelaliśmy do siedzących. Idziemy dalej, znowu porwało się sześć razem, i siadły w wiśniowym sadku, jedna z nich wyleciała z drzew i siadła między pasącemi się owcami. Jeden z rozgorączkowanych myśliwych woła: „Owce pozabijam a słonkę mieć muszę.“ Ale strzelać było niepodobna, słonka zrywać się nie chciała owce zaś były zwrócone głowami do słonki blisko, może na pół łokcia. Wreszcie klasnąłem mocno, słonka się porwała, ale niestety strzelać nie mogłem, bo nagle naprzeciw stanął jak wryty właściciel owiec. W pół godziny zaledwie padło pięć sztuk na tym urodzajnym w kapustę i słonki ogrodzie. Zachęceni powodzeniem ruszyliśmy nazajutrz znowu w ogród, ale słonki były już między drzewami, zabiliśmy tylko jedną kilka ficlauzów i jednego kszyka. Na trzeci dzień już słonek niebyło, znaleźliśmy trzy w polu między łozami, z których jedną zabito siedzącą na gałęzi łozy pokrytej lodem. Trudno uwierzyć, żeby słonka siedziała na gałęzi, da się to wszakże łatwo usprawiedliwić tem, że ptaki siedzą w polu i na gałęzi, ponieważ lasy pokryte są lodem i ciężkie bryły spadają na ziemię wiatrem strącane, i niepokoją ptaki. Jakieżto jednak dziwne zjawisko! Z tego, co powiadam, wnieść mogą sz. czytelnicy, że słonki znoszą trzystopniowy mróz z zamiecią i północnym wiatrem. Taki niezwykły stan powietrza był dla nas zamieszkałych w stepowych okolicach myśliwych, istotnie bardzo zajmującym. Podczas tej wichrowatej i zimnej pogody zdarzało się nam spotykać ludzi, którzy dropie, żórawie, kuropatwy, dzikie jakieś zamorskie kaczki i Gagi szwedzkie żywcem zabierali z gumien pod stertami zboża. Massę ptactwa, przepiórek, słowików i innych znajdowano w stodołach. Kwiczołów pojawiły się miliardy, w kilku dniach zabiliśmy stokilkanaście na dziedzińcu między kwiatami. Dziś mamy 24. Października, słonki jednak nieodlatują mimo ciągłej zimnej i śnieżnej pory, codzień spotykam je w łozinie, w dość mokrych miejscach, dosiadują twardo i nielecą do lasu, lecz blisko zapadają, polowanie więc miłe, szczególnie dla nas mieszkańców stepowej krainy, w której słonka jest nader rzadką. Jaki skutek wywrą teraźniejsze mrozy i śniegi na rok przyszły, czy błotne i wodne ptactwo nieucierpi, o tem trudno dziś zapewnić, śmiem jednak twierdzić, że polowanie z powodu obecnego przewrotu w naturze w wyszukaniu ptactwa błotnego będzie w przyszłym roku bardzo mozolne. Wiele zwierzyny zginęło od strzałów, więcej jednak z ręki tych, którzy obecnie prawie z kijem w ręku na nią polowali. Dochodzą mnie wieści, że w okolicznych miastach chłopi sprzedawali słonki i bekasy w znacznej liczbie. *Marian Żukowski.*

Z Bośnii.

U nas jak w ogóle w okolicach górskich odpowiednia przebywa zwierzyna. Zajęcy mało, sarn również niewiele, natomiast więcej jeleni i danieli, a na najwyższych szczytach (turniach) bezleśnych i skalistych, kształtem i charakterem do naszych Tatr podobnych, przebywają liczne kozice (gemzy.) Najgodniejsze uwagi, że wygasły w całej Europie, z wyjątkiem Pireneów po stronie hiszpańskiej, koziorożec w dosyć znacznej liczbie się tu znajduje. Jednego zastrzelił porucznik mojego pułku, i zachował sobie rogi i skórę, które naocznie widziałem. Z drapieżnej zwierzyny dużo tu wilków i niedźwiedzi. O rysiach nie słyszałem, ani ich widziałem. Zwierzyny skrzydlatej pożytecznej niewiele, kuropatw mało, przepiórek wcale niema, kwiczołów i paszkotów mnóstwo. Ostatnie przebywają i gnieżdżą się po gajach, a raczej krzakach wiśniowych z wonną korą. Wiśnie te krzakowato rosnące rozlegają się na znacznych przestrzeniach skalistych stoków gór, gdzie bowiem żaden krzew, nawet jałowiec, którego tu wiele, nie rośnie, tam wegetuje bujnie wonna wiśnia, i rodzi drobne, czarne niesmaczne, bo gorzkawe, przypominające gorżki migdał, jagódki, które paszkoty i kwiczoły chciwie pożerają. Temi jagodami żywią się też gołębie, których tu mnóstwo. Tutejsze dzikie gołębie nie podobne barwą upierzenia czyli stroju do naszych, mają bowiem na sobie barwę bladoczekoladową z białym jak śnieg ogonem. W późnej jesieni zbierają się w ogromne stada, nie odlatują na zimę, lecz ciągną z wyższych gór, czyli raczej z lasów dębowych i bukowych, w których się lęgną, ku mniej górskim okolicom, w pobliżu siedzib ludzkich, żerując często w ogrodach lub placach miast, gdzie też biliśmy je kopami. Gołębie te mniejsze od naszych grzywaczy, dziwną mają właściwość silnej donioslości i łopotania a raczej klaskania skrzydłami, pod tym względem o wiele przewyższają naszych świstaków. Z końcem Września wyszedłem ku miejskim ogrodom w celu ubicia paszkotów na dziko rosnących, winnych krzewach. Ptaki te zlatują się tam w porze dojrzewania winogron stadami, i znaczne czynią szkody. Podczas pochodu mego dochodzą ucha mego jakieś dziwne głosy, naprzód jakby salwa karabinowa conajmniej batalionu całego, później trzask i łopot niezwykły, po chwili znowu szum jakby gradowej chmury. To olbrzymie stado gołębi przelatywało nad moją głową. Z obu luf palnąłem w ową chmurę — spadło sztuk 19. Ja, mój adjutant i dwoch służących mieliśmy wyborną pieczystę zwłaszcza, że baranina już wstręt nasz ku sobie obudzała. Niedźwiedzi, szczególnie wilków zawsze tu bywało wiele, a można niestety się spodziewać, że rozmnoży się ich liczba po ogólnem, ale koniecznem rozbrojeniu kraju. I palną i sieczną broń zabrano, jakież to prześliczne trafiały się okazy strzelb i handżarów, a prawie wszystkie starożytne na krzemień nawet z werblikowymi zamkami t. j. z stalowem kółkiem, pocierającem krzemień i zapalającem proch. Lufki janczarek bogato złotem i srebrem inkrustowane, łoża zaś kształtem odmienne od zwykłych w Europie strzelb, ozdobione srebrem, złotem, perłową macicą, a nawet drogimi kamieniami. Klingi handżarów ze stali damasceńskiej, najczęściej inkrustowane złotem, ze zrebrnymi napisami — sentencyami z Koranu. Miałem w rękach moich sztuki wartości kilkuset guldenów. — Wilków, jak już wyżej nadmieniłem dużo, a będzie ich więcej, ale sprawdza się tu przysłowie: „Niema nic złego, coby na dobre nie wyszło“, w miarę mnożenia się wilków niema w osadach czysto tureckich lub w miasteczkach przeważnie przez Turków zamieszkałych, tej istnej plagi dla Europejczyka — psów. O zachodzie słońca wsie lub dzielnice

miast, zamieszkane przez Turków, zwłaszcza, że domy tureckie nie mają okien frontowych, wyglądają wieczorem i w nocy obok licznych ogrodów jakby ciche, ponure linje leśne, więc wilki chodzą niemi najswobodniej nocami, a często i w dzień, i wyławiają psy, których Turek, jakkolwiek je szanuje, jako zwierzę wedle Alkoranu nieczyste, do wnętrza swego mieszkania nie wpuszcza. Mój gospodarz, wielce pobożny, a jeszcze więcej otyły i gnuśny turek lubił polować, ale na półmisku, przyjmował chętnie ofiarowaną mu przezemnie zwierzynę zwłaszcza, gdym go zapewnił, że według wymagań koranu zginęła od noża, którą operacyę wykonywał mój Waśko z Mizunia na zastrzelonej przezemnie zwierzynie, podrzynając jej gardło swym prawdziwym, Stryjskim kozikiem. — Dzików też tu nie mało, wyznawcy proroka pogardzają ich smacznem mięsem, więc służy ono nam niewiernym giaurom.

M.

KRONIKA.

21. Listopada.

W połowie Października polował przez pięć dni hr. Artur Potocki w Górze Ropczyckiej i Sędziszowie, gdzie ubito w siedm strzelb 2 rogacze, 448 zajęcy, 6 lisów, 45 bażantów, 9 słonek, 31 kuropatw, 1 kszyka, 1 przepiórkę, 2 chruściele, 1 kaczkę i 5 jastrzębi — razem 554 sztuk. Przez jeden dzień polowano wyłącznie na ptactwo. Poprzedni właściciel Góry Ex. Kazimierz hr. Starzeński był może pierwszym w kraju, który pojął racyonalny tryb łowiectwa, staranną ochroną zwierzyny i karmieniem jej w ostrych i przykrych dla zajęcy i ptactwa porach roku doprowadził jeszcze za życia swego do świetnych stosunkowo na owe czasy rezultatów. Jego następca w Górze hr. Artur Potocki, znany w całej Polsce myśliwy i zawołany miłośnik łowów prowadził dalej zaczętą pracę, i zadrzewieniem 200 morgów nieużytków założył nader pożyteczne wyłącznie dla zwierzyny remizy. Znam te polowania od bardzo dawna i śmiało mogę twierdzić, że dziś tam trzy razy tyle zwierza pada, co przed laty dziesięciu. Oby każdy myśliwy i właściciel polowania mógł się takim postępem poszczycić! To też korespondencya umieszczona w 246 Numerze Gazety Lwowskiej r. b. w felietonie p. t. „Listy z Krakowa“ słusznie i sprawiedliwie oddaje pochwały hr. Arturowi Potockiemu i jego łowczemu p. Albusowi. Jest to rzecz bardzo ładnie napisana, a że traktuje o myśliwstwie i postępach jego w całym kraju, radbym, iżby szanowna Redakcya Łowca umieściła ją jako zajmującą i pożyteczną w swych szpaltach. *S. O.*

Kraków 21. Listopada.

Z początkiem tego roku zawiązało grono myśliwych „Spółkę myśliwską“ z siedzibą w Krakowie celem podniesienia stanu zwierzyny i dla własnej przyjemności, zadzierżawiając około 20.000 morgów przestrzeni lasów i pól w powiatach Bocheńskim i Brzeskim. Spółka ta ukonstytuowała się i ułożony statut posłała do zatwierdzenia c. k. Namiestnictwu, dotąd jednak bezskutecznie oczekuje. To był powód, że do tej pory Spółka nie zgłosiła się do sz. Towarzystwa z przedstawieniem swych statutów, celów i dążeń. Po odbytem jednak pierwszem polowaniu „Spółki“, mimo nie-potwierdzonych statutów, nie podobna nam było dłużej milczeć, i dla tego składamy dzisiaj raport jako naszej protektorce, polecając się równocześnie opiece i pamięci sz. Towarzystwa łowieckiego. Polowanie odbyło się 11 b. m. w rewirze Słotwina - Jadowniki. Ubito w 13 strzelb: 39 zajęcy, 3 rogacze, 4 lisy i 3 kuropatwy. Nadto pogonka kijami ubiła słonkę, a co szczególniejsze, jastrzębia kuropatwiarza, mordującego sojkę na ziemi. Podając to krótkie sprawozdanie sz. Towarzystwu łow., przyrzekamy zawiadomić o rezultatach dalszych polowań, również w czasie odpowiednim prześlemy całoroczne zestawienie naszych starań oraz osiągniętych celów. Podnieść wreszcie musimy, że rewir, w którym odbyło się polowanie, jest najgorszym z całej przestrzeni zadzierżawionej, jak na pierwszy rok, rezultat wcale niezły. Następne polowanie ma się odbyć 11 i 12 Grudnia b. r., o czem w czasie właściwym doniesiemy. Załączamy nasz statut i spis członków Spółki. Prezes Stanisław Homolacs, administrator i wiceprezes Żeleński Kazimierz, sekretarz Kieszkowski Czesław, członkowie: Dembiński Juliusz, Gostkowski Alexander, Homolacs Edward, Jędrzejowicz Franciszek, Jędrzejowicz Stanisław, hr. Mycielski Felix, Kniaź Puzyna Piotr, hr. Wodzicki Antoni, hr. Wodzicki Stanisław, członek honorowy Pfau Henryk c. k. starosta *C. Kieszkowski.*

P. R. Nowe Towarzystwo myśliwskie witamy serdecznie z szczerem życzeniem powodzenia i osiągnienia celów. Z naszej strony ofiarujemy Spółce w każdej chwili chętną radę i pomoc.

Pies mój pokojowy ciężko zachorował, po użyciu medycyny zapisanej przez weterynarza, dostał silnej biegunki, stan zdrowia się pogorszył. Dałem mu pigułkę p. K. Hostońskiego, po drugiej pies zupełnie wyzdrowiał.

Lwów 21. Listopada. *Ottmar Schellenberg.*

Z pod Brodów 24. Paźdz.

Od dwunastu lat zamieszkuję tę okolicę, a drugi dopiero raz doznałem przyjemności widzenia takiego mnóstwa ptactwa. Przyczyna była zapewne ta, że mieliśmy mokre lato, przed kilku bowiem laty, gdym na 11 polowaniach zabił 279 dubeltow, padały nieustanne deszcze. Ten rok był jeszcze lepszym, chociaż mniej zabiłem, widocznie starzeję się już, wzrok słabszy, gorzej strzelam, zresztą robiłem honory na tutejszych błotach nowemu sąsiadowi panu H., więc co dawniej sam zabijałem, to teraz we dwóch. Sznyrowskie błoto było w tym roku najlepsze, i można powiedzieć, że prawie wszystko biliśmy na niem. Pamiętny był dzień 10. Sierpnia, na tem jednem błocie padło wtedy 88 dubeltow. Było to po dwóch dniach ulewnych, kiedy przybyliśmy o 12. z panem H. nad błoto, już tam hr. Bor. z sąsiadem i strzelcem polował od godziny 7. Zakończyli oni właśnie polowanie i mówili nam· „Nie macie tu co robić, bo co było wybiliśmy“ i wskazali nam 32 dubeltów. Ze spuszczonym nosem wleźliśmy na błoto, na którem było dubeltów tak dużo, że ci panowie więcej rozpędzali, jak bili, padło więc jeszcze sztuk 56. Na tem jednem Sznyrowskiem błocie legło dubeltów zabitych przez hr. Bor.

i jego strzelca	210
ja zabiłem	200
pan H.	161
razem .	571

Nie liczę przepiórek, chruścieli, kszyków, i batalionow. Pierwszy raz strzelałem tu bataliony, pojawiły się w pierwszych dniach Lipca, i wkrótce znikły. 5. Lipca poczęto strzelać do dubeltów, a 15. Sierpnia już ich nie było, dopiero 16. Września dowiedziałem się, że ktoś zabił dubelta i ruszyłem na błoto, zabiłem wtedy 5. Bardzo wiele było w tym roku chruścieli i przepiórek. Od 9. do 12. polowałem w Olejowie. Słonek jeszcze nie było, bo tylko 11 padło, dopiero 18. główny ich korpus nadciągnął ze Szwecyi, a 19. Października dowiedziałem się o nich. 20. z legawym psem zabiłem 8, a 23. 4 w ogrodzie u siebie, dziś 24. deszcz leje, czekam z niecierpliwością pogody, żeby wyruszyć na słonki. Kuropatw mało w tej okolicy, dwa razy szukałem i nie znalazłem i to w miejscach, gdzie zostawiłem na zimę 30 sztuk w jednem stadku. W kilka strzelb polowaliśmy w Korsowie u p. Horodyńskiego. Jak na pierwszy rok polowanie wypadło dobrze, ubito 2 rogacze, 2 lisy, 30 zajęcy, 4 jarząbki i 2 słonki. W każdym miocie były jarząbki. Gospodarz sam prowadził polowanie znakomicie. Po kilkanaście miotów braliśmy dziennie, a wszystko szło jak z płatka. Wieczorem obyczajem myśliwskim przy rozłożonej zwierzynie w sieniach i przy odgłosie trąbki piliśmy starkę na trupach, a przy obiedzie na pomyślność i zdrowie nowego, a wielce nam miłego sąsiada.

Marceli hr. Tyszkiewicz.

Moszków 2. Listopada.

Ładna jesień i ochota myśliwska zawiodły mnie w tygodniu trzy razy na polowanie. Pomijam inne szczegóły, te będą w statystycznym wykazie po zakończeniu pory myśliwskiej przesłane, dziś wspomnę o nadzwyczajnem rozmnożeniu się lisa. Ubiegła zima była prawie bez śniegu, nie dała możności niszczenia trutką, a charciarze też (o ile ist-

nieją tu ci nielegalni myśliwi) nie wzięli ani jednego lisa. Rzecz nie do uwierzenia, w moich małych miotach; krzaczkach i zaroślach jest, bez przesady mówiąc, najmniej 150 do 200 lisów! Zabiłem sam w jednym tygodniu 5 lisów, a drugie tyle postrzeliłem. Do chybionego strzału rzadko który z myśliwych się przyznaje, zwykle albo był zwierz za daleko, albo szedł gęstwiną, albo mgła przeszkadzała i t. p. Ostatnie polowanie dało jako rezultat: 1 kozła, 11 zajęcy, i 7 lisów na 84 strzałów. Gdyby nie mgła, bylibyśmy ubili najmniej 12 lisów. Co się stanie z naszemi zajęczarniami i kuropatwami? Ratujcie i radźcie, bo grozi klęska. Niemniejsza grozi dzikom i sarnom, bo wilki wszędzie buszują, W wielkich lasach chodzi ich pięć, a u mnie w krzaczkach już przez kilka mięsięcy włóczy się jeden postrzelony, kulawy, niemniej jednak codzień robi szkody. Administracye takie, jak Poturzycka, wzorowo co do myśliwstwa urządzona, powinna od pierwszej ponowy począwszy, energicznie tępić owych rozbójników. *S. P.*

Lwów 9. Listopada.

Sprawa sporna tylokrotnie poruszana w Łowcu, dotycząca systemów iglicowego Teschnera i Lankastra, mimo usilnych moich starań, rozwiązania jej, pozostaje dotąd w zawieszeniu. Nie wątpię, iż zwłoka ta jest raczej opóźnieniem, a nie zaniechaniem tej sprawy. Nie jest ona osobistym sporem dwóch stron, rozwiązanie jej ma przynieść pożytek ogółowi myśliwych, zaniechaną przeto być nie może. W tym celu miała się odbyć próba strzałów, przy której zawarowałem sobie w Nr. 4. b. r. Łowca postawienie jednego wazunku, którego na razie nie wymieniłem. Otoż dziś uważam za obowiązek ogłosić, iż warunkiem tym jest strzelanie przy próbie po 200 razy z broni systemów spornych, z przerwą na dni kilka po 100 strzałach, jednakże bez czyszczenia broni. Na ten wniosek zgodził się sz. mój oponent w części, bo na 100 strzałów, przy ustnem porozumieniu się, i miał ten warunek stanowić dla uproszonych arbitrów dyrektywę i podstawę do stanowczego orzeczenia i wyroku w kwestyi spornej. Próby takiej należy dokonać, albowiem każdy z wytrawnych znawców broni przyzna mi, że względna wartość jej systemów da się zbadać jedynie wtedy, gdy spostrzeżenia nad niemi czynić będziemy w najkorzystniejszych dla nich warunkach. Wszak lufy podlegają zwykle urzędowej próbie poczwórnego naboju prochu. Według mego przekonania tym tylko sposobem możemy istotnie i dosadnie wartość systemu stwierdzić. Jestem pewny, że po 100 strzałach Teschnerówka zafolowana (w dniu słotnym rychlej) nie przyjmie papierowych nabojów, i dalsze strzały będą niemożebne, a po proponowaaej kilkudniowej przerwie już gruba rdza osiądzie w zamkach Teschnerowskich, co jako wadę organiczną systemu tego w jednej z mych poprzednich korespondencyi, w Łowcu umieszczonej, wykazałem. Pordzewieją zamki mimo użycia owych dwóch najnowszego pomysłu wentylów z juchtu, które są wcale nie estetycznem i nie właściwem posiłkowaniem się rymarstwem. Ja zaś użyję moich dziesięciu mosiężnych nabojów, przeznaczonych na próbę i przyjętych przez stronę przeciwną, które napełniane będą wobec pp. arbitrów, i zawrą w sobie 27 ziarn sarniaka. Jestem pewny, że po 100 strzałach z Lankastrówki ani ostrość, ani gęstość dalszych strzałów się nie zmniejszy, i że zwycięstwo będzie po stronie systemu przezemnie bronionego. Oczekuję tedy rychłego wezwania do tych próbnych zapasów, i nie wątpię, że owe tak częste głosy, odzywające się w tej sprawie w Piśmie naszem tego roku, nie przebrzmią bez realnego pożytku dla ogółu, a przy zakładach wyniknie dla mnie niezawodna korzyść.

L Weeber.

Ustrzyki dolne.

Nieraz już odzywały się w kolumnach Pisma naszego skargi z różnych stron na nędzny stan zwierzyny, na grasujące swobodnie kłusownictwo i nieprzestrzeganie Ustaw łowieckich. Podobną skargę ponowię z powiatu Liskiego (niegdyś ziemi Sanockiej). Smutne to zaiste, iż w ziemi tej, słynącej dawniej z wielkiej obfitości zwierzyny wszelkiege rodzaju i znakomitych, sławnych nawet, myśliwych, jakto wykazał w Łowcu z r. 1880 p. Ubysz w swoich: „Wspomnieniach z gór“, dziś niema ani zwierzyny, ani myśliwych, z małym wyjątkiem. Owi sławni myśliwi dawno już spoczywają w mogiłach, tradycya tylko pozostała ich wypraw i trudów łowieckich, potomkowie ich przenieśli się w inne strony, lub też nie podobni do swych praojców, więc śladu nawet niema dzisiaj owych Nemrodów. Cóż się stało z zwierzyną? Możnaby sądzić, iż gdy niema myśliwych, zwierzyna do zbytku się rozmnożyła, — przeciwnie, niema jej. Zabrakło myśliwych, natomiast mnóstwo strzelców, a jeszcze więcej kłusowników. Nie klimat zbyt ostry, nie położenie nieprzyjazne, ani mnoga ilość ptactwa drapieżnego, nie koty, psy, lisy, i tym podobne drapieżniki, plondrujący tu bezkarnie po polach i lasach, są powodem braku zwierzyny — lecz najsroższy drapieżnik w postaci człowieka, on właśnie, który powinien czuwac nad nią, ochraniać i mnożyć ją — on właśnie tępi ją bezlitośnie. Rozróżniam wprawdzie strzelców i kłusowników, ale należą oni do jednego cechu, jedni i drudzy wielce dla łowiectwa szkodliwi, lecz pierwsi mają przynajmniej upoważnienie do polowania, nie strzelają w porze Ustawą wzbronionej, i z granic swoich nie wychodzą, nie znane im tylko prawidła racyonalnego myśliwstwa, więc nie ochraniają pożytecznej zwierzyny, nie tępią szkodliwej. Drugich nie obowiązują żadne prawa, żadne przepisy, nie szanują cudzej własności, polują wszędzie i kiedykolwiek, nie mają prawa posiadania broni — tych niestety jest tu zbyt wiele zwłaszcza w pobliżu miasteczek, a rozmnożyli się oni w części z powodu obojętności właścicieli większyth posiadłości, a jeszcze bardziej Władzy politycznej. Wydzierzawianie polowań gminnych nie odbywa się należycie, o licytacyi albo nikt nie wie, lub następuje ona dopiero wtedy, gdy który z większych właścicieli o nią się upomni. Żandarmerja nie przestrzega swych obowiązków, nigdy nie zapyta o kartę, upoważniającą do posiadania broni, może nawet nie wie o niej, więc też kłusownik swobodnie oddaje się swemu rzemiosłu i poluje gdzie i kiedy mu się podoba. Czyliż nie jest powinnością Władzy politycznej czuwać, by Ustawa ściśle była wykonywaną, czyliż powiat Liski stanowi w tej mierze wyjątek? W takim stanie rzeczy trudno o bogatszy zwierzostan przy najgorliwszych nawet usiłowaniach niektórych właścieieli obszarów łowieckich. Odzywam się przeto do Wydziału Tow. łow. z prośbą, by postarał się o przypomnienie Władzy politycznej naszego powiatu, iż na niej cięży obowiązek strzeżenia Ustaw. Gdy się to stanie, można będzie wytępić grasujące u nas kłusownictwo i pomnożyć nader dziś ubogi nasz zwierzostan. *S. N.*

Wpisali się w poczet członków Tow. łowieck.

Baworowski Michał hr. Dzierżanowski Zygmunt.

Na targu lwowskim pojawiły się przed 10tym Listopada ptaki północne, mianowicie jemiołuchy i nury — zwiastuny rychłej zimy.

Sandacz darzy się wybornie w stawach i jeziorach, dla tego zasługuje jako ryba smaczna i popłatna, aby go w nich wszędzie rozmnożono. Możność ku temu podał Wny Gostkowski, właściciel dóbr Tonice pod Wadowicami (poczta), zająwszy się bowiem wychowem sandacza w stawie, ma teraz mnogi zarybek długości 8—10 cali do zbycia, kopę po 1 złr., a więc po cenie zbyt przystępnej. Chłodna obecnie pora sprzyja rozsyłce narybku, dla tego byłoby do życzenia, aby właściciele stawów i jezior korzystali z nadarzającej się dobrej sposobności, a pożyteczna praca Wgo Gostkowskiego przyniosłaby im niepoślednie korzyści.

Dnia 16 Maja 1882 roku wybrali włościanie z Wertełki (państwo Pieniaki) z jednego gniazda dziesięcioro wilcząt, pięć piesków i pięć suczek. Upraszam o wynadgrodzenie dla nich.

Załośce 15 Listopada. *S. Kazecki*, nadleśniczy.

Dolina, 8 Listopada.

Wczoraj wyszedł mój bratanek Franciszek Berwid, rządzca w Spasie, do kniei „Pohary“ zwanej w celu tropienia dzików. Nieznalazłszy żadnego tropu puścił psy w miot, które trafiły i goniły rysia. Wskoczył on wreszcie na jodłę, zkąd go bratanek spuścił ugodziwszy kulą w kark. Ryś spadłszy żył jeszcze, pies brał się ostro do niego, a ryś konający chwycił go za szczękę tak silnie, iż musiał bratanek kijem pysk mu otwierać. Posyłam go do Muzeum im. Dzieduszyckich. Drugi to już ryś zabity w Spasie, sarny niemają spokoju, bo w okolicznych lasach ma się jeszcze trzech takich rabusiów znajdować, a niepodobna ich wytropić bez śniegu. Dziki są teraz w górach, gdzie mają obfity żer. Jednego dzika ubiliśmy, a drugiego niestrzelanego psy złapały i zżarły. Byłem przez jeden dzień w Lisowicach, strzelałem do dzika, ale bezskutecznie. Panowie Lisowiccy strzelali później do dwóch niedźwiedzi, pokaleczyli ich, ale podobno nie znaleźli. *Ks. Fr. Berwid.*

Ryś przysłany należy do niezwykłe pięknych egzemplarzy, waży 42 funtów, futro nader ładne. Muzeum im. Dzieduszyckich składa niniejszem łaskawemu dawcy szczerą podziękę.

Wola, 10 Listopada.

W dniach 26 i 28 Października polowałem w Dołpotowie pow. Kałuskim, majątku Fr. Rozwadowskiego. W trzy strzelby zabiliśmy:

1 dzika, 4 rogacze, 4 lisy, 7 zajęcy, 3 słonki, 4 koty, 1 psa i 2 puhacze. Strzałów padło 41. — Dnia 4 b. m. polowaliśmy w Udnowie pod Lwowem u p. A. Obertyńskiego. W 9 strzelb w sześciu godzinach ubiliśmy w lesie liczącym około 250 morgów obszaru 54 zajęcy, 6 lisów, 1 wiewiórkę i 1 puhacza. Strzałów padło 143. Z prawdziwą przyjemnością nadmienić tu muszę, że świetny rezultat polowania w Udnowie, pomyślniejszy od lat ubiegłych, trzeba zawdzięczyć troskliwości p. Obertyńskiego, który przestrzeganiem pszepisów Ustawy łowieckiej, tępieniem szkodników, wyłapywaniem jastrzębi w klatki, a co najważniejsze zapobieganiem kłusownictwu zwiększył zwierzostan, o czem cyfry ubitej zwierzyny najlepiej świadczą. *W. Wiktor.*

Złoczów

Dnia 14 Września gdym jechał końmi ze Złoczowa ku Krasnemu, wskazał mi chłop woźnica w odali na skoszonych łąkach wsi Chylczyc, w pobliżu olchowego lasu, rosnącego na tej obszernej równinie, stadko ptaków mówiąc: „ot dykii hendyki!“ Było to stado dropi. Niegdyś mieszkaniec Ukrainy znam dobrze naturę tych ptaków, więc każę chłopu zboczyć z głównej drogi na drożynkę wiodącą ku owemu laskowi. — Moją odtylcówkę nabiłem sarnim śrótem, i idę przeciwną stroną ku owej olszynce. Przeszedłszy lasek począłem się podkradać pod stado dropi, które spoczywało po drugiej stronie rzeczułki na czystej łące. Wszystko sprzyjało memu zamiarowi, dzień był pochmurny, a wiatr dosyć silny od dropi ku mnie wiejący, silnie poruszający olchami i krzakami łoziny. Już stadko znajdowało się odemnie w odległości może 50 kroków, a było sztuk 7. Jendor stał osobno na kilka kroków oddalony od stada, siedzącego na ziemi tak jak gromada swojskich jendyków. Jendor co chwila wyciągając szyję rozglądał się w koło i nasłuchiwał. Strzeliłem do niego, drugi zaś strzał posłałem podrywającemu się stadkowi. Jendor padł na miejscu, a druga sztuka widocznie postrzelona podążyła za stadem ku wsi Jaktorowie, i padła w pobliżu murowanego gościńca. Jendora sam wziąłem, drugiego dropia wskazał mi woźnica. — Dodam tu, że dropie nie lęgną się w okolicy Złoczowa, nawet obecnie mniej ich na galicyjskiem Podolu, więcej na rossyjskiem, na Ukrainie, a najwięcej na Besarabii, gdzie rozległe, dotąd jeszcze nietknięte pługiem stepy w swoich olbrzymich burzanach i trawach dają dropiom wyborne schronienie i spokój, którego przedewszystkiem szukają. Żaden może ptak mniej potrzebuje wody, jak drop. Na bezwodnych besarabskich stepach, w czasie suchego lata na obszernych polach w okolicy Bałty mijają często tygodnie, nim dropie, zawsze gromady się trzymające, ostatecznością zmuszone, zdołają wyszukać sobie wodę. A już samica na jajach siedząca wcale jej nie używa. Nikt się o nią nie troszczy, i matka i dzieci piją chyba rosę, a gdy posucha, to i tej nie ma, więc cierpliwie wyczekują deszczu, bo jakże prowadzić pisklęta do wody, często bardzo oddalonej. Gdyby nie brak wody, byłoby dropi na podolskich, ukraińskich i besarabskich rozłogach stokroć więcej. Młode najczęściej giną w skutek braku wody, osobliwie w posuszne lata.

Cza....

Podluty, 30 Października.

Mamy tu dosyć znaczną liczbę niedźwiedzi, których ofiarą już jeden padł jeleń. Ubiegłej jesieni padło 9 jeleni, które znachodzono.

E. P.

Wyżeł pana Z. w pierwszem polu dostał nosaciny, użycie różnych leków okazało się nieskutecznem. Już głowa mu obrzmiała, a oczy zakisały materyą, przy tem nieustannie pociągał nosem, z którego wypływał śluz. Widząc go w takim stanie użyłem zaleconego przez czasopismo „Łowiec“ środka, wyduszenia guzów przy kiszce odchodowej, wytworzonych w skutek nosaciny. Pierwszy to raz użyłem tego nieznanego mi środka, i z podziwieniem patrzałem na wstrętny płyn, wytryskujący nader obficie. Wyduszanie to powtarzałem co drugi dzień kilka razy, poczem pies wyzdrowiał zupełnie. Po kilku miesiącach zachorował ów wyżeł na nowo, pan Z. będąc pewnym, iż nosacizna się ponowiła, wyduszał starannie, ale bez skutku, a pies coraz bardziej był chory. — Schudł mocno, napróżno silił się do wypróżnienia, wreszcie kał pojawił się w wymiotach. Ktoś poradził użyć rtęci, wlano w gardło psu nieco żywego srebra, a po krótkim czasie nastąpiło dosyć gwałtowne wypróżnienie, przy którem wyszedł kasztan dziki, mocno zczerniały. Pies wnet ozdrowiał. Jestto młody wyżeł, nader żywy, chętnie aportujący. Pan Z. często rzucał mu kasztany do aportowania, i jednego z nich połknął, ale go nie strawił, ztąd nastąpiły zatkanie i przypadłości chorobliwe, które rtęć forsownie usunęła. Sz. czytelnicy raczą zwrócić uwagę na skuteczność wyżej wskazanego środka przeciw nosaciźnie. *A. Ubysz.*

Dnia 23 Listopada polowano w rewirze Żukocińskim (powiat Kołomyjski) z psami i strzelano do sarn, z których jedną z złamaną nogą zapędzono do rewiru w Kamionkach wielkich. Zwraca się uwagę Zarządu lasów w Żukocinie na Ustawę z d. 30 Stycznia 1875 r. §. 1. l. 13.

Wasyl Łuciak, gajowy w Kamionkach.

W Korczowie nad Bugiem, w Lubelskiem, odbyło się w połowie Października wielkie polowanie w 40 strzelb, na którem znajdował się też zaproszony przez gospodarza pana G. pewien lord angielski. Ubito 175 zajęcy, 30 rogaczy, kilkaset kuropatw i dwa dziki. *Gaz. lwow.*

Panu H. M., którego przysłaną nam łaskawie korespondencyę z Podola rossyjskiego umieścimy w następnym numerze, bo grudniowy w chwili odebrania jej był już gotów, odpowiadamy, że po otrzymaniu 5 rs. jako ceny prenumeracyjnej na „Łowca“, będziemy numera najregularniej pocztą wysyłać, i że za przesyłkę prenumeranci żadnej należytości płacić nie będą.

W miesiącu Grudniu wzbrania Ustawa łowiecka strzelać do łań, kóz, cieląt i szpiczaków, do kur głuszców i cietrzewi, dalej do borsuków przepiórek i dzikich gołębi.

Redaktor: **Józef Łoziński.** Adres: **Władysław Zontak** ul. Teatralna Nr. 18.

Z I. Związkowej drukarni we Lwowie, Hotel Zorża.